

Artystka Jean Howard
swym doglem „Metro
Fot. Metro - Goldwyn - M

CZŁOWIEK I MASZYNA



Maszyna do pisania, skonstruowana przez Francis'a w r. 1857.

Maszyna? Czyż można nazwać maszyną coś, co mieści w sobie całą mądrość wszechświata, całą literaturę jaka była i będzie, całą poezję od klasyków przez Poego do wszystkich dzieł, jakie tylko mogą powstać?

Nie, to nie maszyna, to idealna synteza. Te kilkadziesiąt liter układane na różne sposoby, dają wszystko, co umysł i nadumysł może stworzyć. Kombinacje porobione przecież tylko z tych 24 czcionek dałyby „idealną bibljotekę", łączącą w sobie wszelkie myśli i uczucia, boleści i radości. Księgozbiór byłby to ogromny, nie zmieściłby się w obrębie wszechświata, ale ilościowo byłby skończony!

Smutno i dziwnie jest pomyśleć, że nie możemy stworzyć nic, coby nie było — w końcowym efekcie — kombinacją z nie wszystkich nawet możliwych uderzeń w czarne klawisze.

Na wschodzie mordują się, bomby — ta nauka białych — niszczą wpływy Europy i tworzą podwaliny panowania bardziej bezwzględnych i ofiarnych, a w świecie stukają Remingtony...

Czar nocy balowej: kobiety jak marzenie, toalety — poematy, muzyka, taniec, wino — w redakcjach stukają maszyny reporterów...

Uczony odkrył nowe światy astronomji czy chemji, a skutek, to... kartka wyjęta z maszyny...

Królowa piękności w drodze do karjery zapada na trąd, łamie się cudny kwiat życia. Wynik? trzask klawiszy...

Tak! wielkość zdarzenia, to ilość maszyn, jakie ono w ruch wprowadza...

A kobiece królestwo maszyny? To cały olbrzymi tłum główek, wszelkich odcieni i ras nad klawjaturą. Biura małe, duże, ciemne, jasne, najbardziej tajne gabinety mężów stanu, wszystkie pełne są stukotu klawiszy i połysków migających na nich paznokietków.

Ta armja, cała gama kobiecości, to tak często dobre duchy pracy! Wieleż razy zmęczony różnemi kwestjami człowiek odpoczął, obserwując w dalszych pokojach, grające na jasnej główce promienie słońca! Jakże często schylony nad maszyną karczek zmienił losy dwojga ludzi!

Ta część królestwa maszyn jest bodaj najsympatyczniejszą, bo łączy piękne z pożytecznem. W tym też dziale padają ciąż nowe rekordy. Ostatni, to 17 uderzeń na sekundę. Niemożliwe? Owszem możliwe, bo jeżeli wziąć pod uwagę, że Paderewski uderza 26 razy na sekundę, a rekord światowy 44 razy należy do pianisty angielskiego Henry Scotta (gra w rękawiczkach), to szybkość 1000 uderzeń na minutę nie wyda się nieprawdopodobną.

Skąd się wzięło to cudowne narzędzie? Początki leżą — wbrew oczekiwaniu — w „pomroce dziejów". Nim jednak opowiem cośniecoś z historji, muszę się zastrzec, że historja maszyny do pisania, to historja dużego przewrotu socjalnego. Dopiero z maszyną weszła do biur piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego. Wiadomo, że z wyjątkiem dalekiego wschodu, wszędzie przy maszynach siedzą głównie kobiety.

Pierwsza wzmianka o maszynie, to patent udzielony przez królową angielską Annę w dn. 7 stycznia 1714 r., niejakiemu Henrykowi Millowi, angielskiemu inżynierowi. Patent określa tę maszynę jako przyrząd do pisania liter nieróżniących się od drukowanych. Bliższych szczegółów o niej nie wiemy, bo patent nie opisuje jej, a poza tem nie była nigdy wykonaną. Dalsza próba, to maszyna do wytłaczania liter dla ślepych z 1784 r. W Ameryce pierwszy patent pochodzi z 1829 r., udzielony Austinowi Burt z Detroit. Niestety jedyny model spłonął w pożarze Urzędu Patentowego w Washingtonie w 1836 r. W 1833 r. Xavier Progrin z Marsylji jest pierwszym wynalazcą francuskim. Potem Charles Thurber z Worcester w Ameryce buduje w 1843 r. maszynę, w której jest poziomy walec na papier, a litery ułożone na pionowym cylindrze. Ciekawem jest, że pierwsze maszyny przeznaczone były dla ślepych, i tak Thurber dalszy model w 1845 r. przeznacza już specjalnie dla niewidomych, a nauczyciel Paryskiego Zakładu Ślepych, Pierre Foucault, w 1849 r. patentuje nową konstrukcję i pokazuje ją na wystawie londyńskiej z 1851 r. Wartość tego wynalazku oceniono zmiejsca i w kilku zakładach zaprowadzono to tak pożyteczne dla niewidomych ułatwienie pisania. Od tego czasu sypią się coraz nowsze pomysły w różnych krajach, i tak w Austrji występuje na widownię Piotr Mitterhofer, we Włoszech ukazuje się typ Ravissa, a ostatni z tego okresu, to Beach i Francis, dali maszyny już nieźle piszące, tylko że na wąskiej taśmie papieru i też wypukłemi literami. Maszyna ta była dość obszerna — wyglądała jak mały fortepian.

Nowa era świta w Milwaukee. Oto Chr. L. Sholes, Carlos Glidden i S. W. Soulé w 1867 r. pokazali pierwszą praktyczną maszynę. Soulé wkrótce wycofał się z spółki, a Sholes pracował niezmordowanie i w ciągu 5 lat, wciąż ulepszając, wykonał aż 30 modeli maszyn. Ostatni model opatentował 14. VII. 1868 r. Była to maszyna, na której już można było szybciej pisać, jak piórem!

Wreszcie dzień 1 marca 1873 r. to na rodziny produkcji maszyn, bo w tym dniu zawarli Glidden i Soulé kontrakt z wytwórnią broni w Ilion USA — Remington et Sons, na fabrykację ich maszyn i z początkiem 1874 r. ukazały się pierwsze maszyny na rynku sprzedaży. Była to maszyna już z wałkiem na papier, odstępami i t. d. Dalej postęp szedł już systematycznie. W 1888 r. pokazała się pierwsza maszyna z widzialnem pismem. W tymże roku kongres piszących na maszynie odbyty w Toronto uchwalił i ustalił porządek liter na klawjaturze i od tego czasu mamy obecnie używany układ, coprawda odpowiadający najlepiej językowi angielskiemu.

W 1897 r. powstała pierwsza maszyna z czcionkami, bijącemi od przodu i segmentem, a w 1912 pierwszy „Portable", ten domowy przyjaciel człowieka pracy.

Prawie dwieście lat trwało, nim maszyna z niezgrabnego niemowlęcia przekształciła się w niezbędnego towarzysza człowieka pióra, (słowo pióro trzebaby właściwie w tym wypadku umieścić w cudzysłowie), oszczędzają mu czasu, ułatwiając pracę i zwalniając z... kaligrafji!

Wieleżto tych odmian było! Pamiętamy jeszcze maszyny ze wskazówką, gdzie litery nastawiało się takim „patyczkiem" i przyciskało czcionkę — typ oczywiście dawno zarzucony, czy następnie kulistą maszynę Duńczyka Mallinga Hansena, w której czcionki uderzały centrycznie. Można było już na niej otrzymywać wprawdzie kopje, ale mały format papieru i brak małych liter nie dały tej maszynie zdobyć sobie większego uznania. Jeszcze gdzieniegdzie widzi się w użyciu maszyny, piszące dwoma alfabetami: rosyjskim i łacińskim. Mają one klawisze osadzone pionowo na poziomych dźwigniach, każdy z 4 literami. Przy pisaniu klawisz wysuwa się poziomo, uderzając w wałek podobnie, jak w innych maszynach ułożony.

Tak; jeszcze do niedawna liczono koło stu rodzai maszyn! Teraz typy zestandaryzowały się i — praktycznie biorąc — można je podzielić na duże-normalne i małe przenośne.

Powie ktoś, że maszyny mają swoje wady. Oczywiście: hałas i potrzeba przyciskania klawiszy. Ale i o tem pomyślała technika: oddawna mamy maszyny cichopiszące — „Noiseless" — które już nie irytują nerwowych i elektryczne, w których naciśniecie klawisza załatwia nasz pokorny sługa — elektryczność. Trzebaby jeszcze choć wymienić maszyny buchalteryjne, piszące i rachujące.

Ameryka, jak zawsze, oryginalna w swych reklamowych pociągnięciach i tu stworzyła coś nowego: chcąc spopularyzować używanie maszyn do pisania, niektóre fabryki rozdają je za darmo po szkołach. Wiadomo, czem skorupka za młodu itd.... Idealiści, narzekający na mechanizację życia (ciekawym coby na to powiedzieli, gdyby im tak zabrać telefon, kolej, samochód itd itd.?), bronią się przeciw pisaniu listów prywatnych na maszynie. Nie wiem czy mamy żałować cieniutko pisanych listów naszych prababek — mam wrażenie, że na nie zapóźno! „Maszynowy" list prywatny ma też swe zalety: jest czytelny i... musi być dłuższy, by jakotako wyglądał. Zresztą objekcje te mocno przypominają reakcję, jaką wywołało pojawienie się stalówek, wśród zwolenników gęsiego pióra „indywidualnie" przyciętego.

Więc czemże jest człowiek piszący na maszynie?? To refleks zdarzeń całego świata, przeżyć własnych i cudzych...

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

Maszyna do pisan... Sholles'a, opatentowana w roku 1868.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 2 **Niedziela, 9 stycznia 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 2-GO



Fot. Studio-Iris — Paryż

Występy naszego reprezentacyjnego baletu cieszą się zagranicą zasłużonem powodzeniem u publiczności i uznaniem fachowej krytyki. Po bogatem tournée na Zachodzie balet wybiera się w podróż artystyczną po Niemczech i Włoszech. Na zdjęciu: Olga Sławska i K. Karnakowski w „Pas de deux" z baletu „Apollo i dziewczyna" L. Różyckiego.

INSCENIZACJE BRONISŁAWA DĄBROWSKIEGO





„Krzyk" Cerio i de Stefaniego na scenie lwowskiej, w reżyserji B. Dąbrowskiego, w dekoracji W. Daszewskiego.



Bronisław Dąbrowski.



„Noc listopadowa" St. Wyspiańskiego na scenie łódzkiej, w reżyserji B. Dąbrowskiego, w dekoracji St. Jarockiego. Obraz II: Salon w Belwederze.

Nie będzie to szkic syntetyczny, bo na niego jeszcze za wcześnie, ale raczej zwrócenie ogółowi uwagi na wybitnie twórczą indywidualność reżysera Bronisława Dąbrowskiego, zajmującego już dziś, po kilku latach pracy, poważne stanowisko w polskim teatrze.

Podkreślanie ilości i jakości studjów Bronisława Dąbrowskiego, jego erudycji i kultury, jest mniej ważne od stwierdzenia, że jest przedewszystkiem pełnowartościowym człowiekiem teatru, który zna i czuje dobrze wszystkie jego elementy, który — jako reżyser — wie czego chce, i wie, jak wykonać to, czego chce. Dowodem tego były i są najgłośniejsze jego inscenizacje z ostatnich lat pracy w teatrach miejskich we Lwowie, Polskim w Poznaniu i obecnie na scenach łódzkich, inscenizacje, o których wspomnimy pokrótce, notując równocześnie, że Dąbrowski ma ich w swym dorobku nierównie więcej, umiejąc zawsze bardzo trafnie wyłowić i podać właściwy, odrębny ton i wyraz sceniczny dzieł Szekspira i Wyspiańskiego, Shawa czy Rostworowskiego. Jako aktor daje głęboko przemyślane, interesujące, sugestywne kreacje, z których zwłaszcza wymienić należy jego Konrada w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego (na scenie poznańskiej, w sezonie 1936—37), jako reżyser jest świetnym pedagogiem, nie niszczącym swoistego tonu kolegów-aktorów, ale zestrajającym ich charakterystyczne właściwości z koncepcją, wyrazem i brzmieniem całości.

* * *

Głośna już dziś w Polsce sztuka spółki włoskiej: Aleksandro de Stefani i Feruccio Cerio, którym, jak notowała przed dwoma zgórą laty prasa, sam Mussolini życzył w naszym kraju powodzenia, sztuka o zazdrości, zmorze trapiącej ludzkość, weszła na scenę lwowską w reżyserji Bronisława Dąbrowskiego i jemu głównie teatralnie niebezpieczny „Krzyk" zawdzięczał swe powodzenie. Lwowska inscenizacja utorowała „Krzykowi" też drogę i na inne sceny.

„Krzyk" — to sztuka, w której właściwie wszystko jest nierealne, choć tezy utworu przemawiają przez żywych ludzi, stojących często na pograniczu komedji i makabryczności, a otoczonych nieustannie atmosferą przedziwnej niesamowitości. Niesłychanie dyskretnie, sugestywnemi środkami, przy współpracy architektoniczno-malarskiej Wł. Daszewskiego i zespołu aktorskiego z T. Białoszczyńskim (prof. Oders) i E. Bonacką (Sylwią) na czele, Dąbrowski wyobraźnię widza niepokoił i wzruszał.

* * *

W kilka miesięcy później, na scenie poznańskiej, Dąbrowski wciągnął widza w zabawę i maskaradę teatralną, dając mu piękną, kolorową, wesołą bajkę — „Wieczór Trzech Króli" Szekspira, tak często, niestety, zniekształcany w obraz banalnej, nierealnej rzeczywistości, lub nużący zbyt wymędrkowanemi sztuczkami.

Przystępując do inscenizacji „Wieczoru Trzech Króli" zdawał sobie Dąbrowski sprawę, że „z jednej strony nie wolno rozwiać i zagubić tradycyjnej aury, która otacza architektonikę twórczą komedji, nie wolno zatracić skarbów romantycznego czaru i renesansowej lekkości, zawartych w sztuce — z drugiej zaś — trzeba uchronić przedstawienie od całego balastu zużytych kanonów i przestarzałych szabloników. Teatr współczesny, jeśli chce skutecznie rywalizować z kinem, musi przeciwstawić precyzyjnemu montażowi taśmy filmowej, nierównie precyzyjniejszy układ sceniczny. Ekspresji szalonego tempa klatki fotograficznej naturalną i swobodną ekspresję sytuacji, słowa i gestu. Wspaniałym plenerom filmu, zmieniającym się kalejdoskopowo — harmonijnie skomponowaną i związaną celowo z treścią sztuki — oprawę dekoracyjną... Właściwa rewizja inscenizacyjno-reżyserska dzieła klasycznego posuwa się w dwóch kierunkach: przedewszystkiem wydobywa i umiejętnie podkreśla walory myślowe, artystyczne, psychologiczne, widowiskowe dzieła z całym oczywiście szacunkiem dla celów i zamierzeń autora, po drugie zaś wyeliminowuje wszystko to, co może zaszkodzić dramaturgowi niewspółczesnemu we współczesnej formie teatru, mając na uwadze dzisiejszą psychikę i unerwienie człowieka. Czyli, innemi

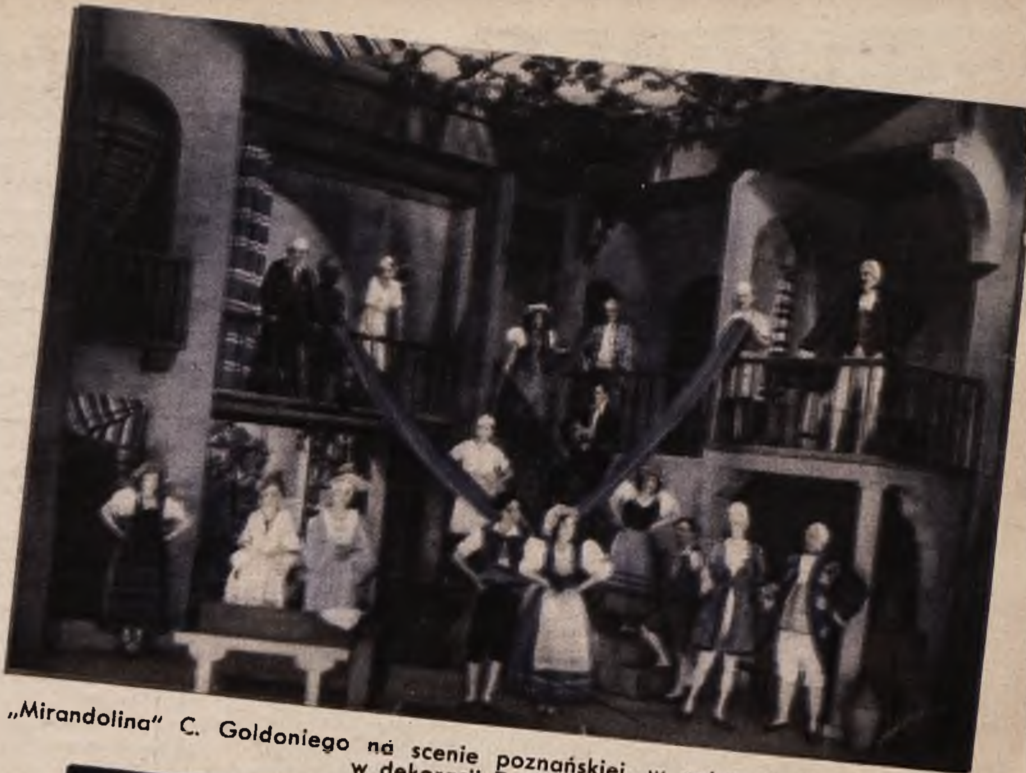
słowy — tradycję ożywia się i wspomaga dynamikę i ekspresję sceny"...

Oto cząstka teoretycznej spowiedzi artystycznej Dąbrowskiego, drukowanej w programie teatralnym, wyjaśniającym założenia inscenizacyjne „Wieczoru Trzech Króli". Wszystkie punkty wykładu teoretycznego zostały powtórzone i rozbudowane w praktyce, w realizacji scenicznej.

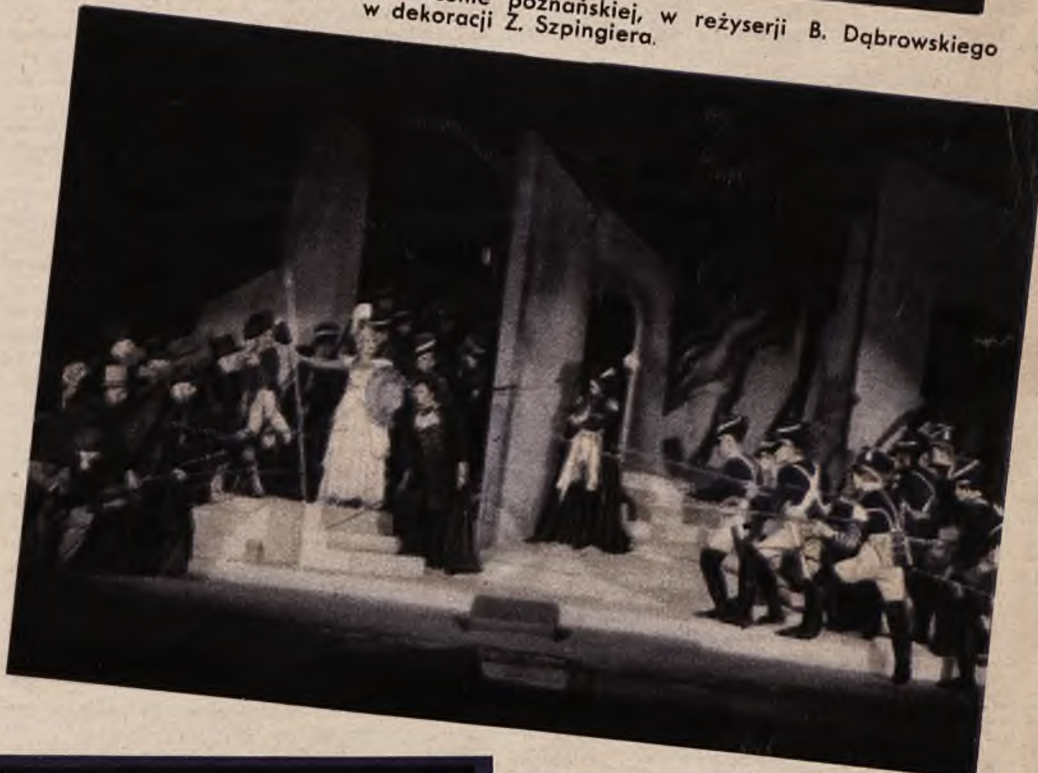
Ponieważ teatr elżbietańskiej epoki był teatrem umownym, Dąbrowski, wespół z świetnym dekoratorem Z. Szpingierem, zsynchronizował miejsca akcji we wspólną konstrukcję i architektonikę sceniczną, wyobrażające zlekka umownie teatralne księstwo Illirji, gdzie rozgrywa się baśń „Wieczoru Trzech Króli", czyli „Co chcecie". W inscenizacji plastycznej nowoczesna praktyczność i celowość zahaczała o tradycjonalną umowność; prymitywizm łączył się z współczesnem bogactwem. — Specyficznym urokiem „Wieczoru" są dwa jego zasadnicze elementy, a raczej ich mieszanina: melancholijny liryzm i krwisty komizm. Nadzwyczaj umiejętnie rozgraniczał Dąbrowski te elementy, w miarę potrzeby i harmonizował z sobą, ogólnej koncepcji inscenizacyjnej podporządkowując także, oczywiście, i sposób gry, mówienie wiersza, ugrupowania scen zbiorowych itd.

Gdy po nienotowanym w dziejach poznańskiej sceny sukcesie ilościowym przedstawień „Wieczoru", Bron. Dąbrowski wystawił również niebywale pomysłowo i artystycznie tak odrębną stylem „Mirandolinę" Goldoniego, krytyka, z Witoldem Noskowskim na czele, orzekła, że takiego reżysera nie miał Poznań od lat dziesięciu, od czasów pracy w Teatrze Polskim Stanisławy Wysockiej. — „Mirandolinę" (przy współpracy kompozytora B. Młodziejowskiego i dekoratora Z. Szpingiera) utrzymał Dąbrowski w nieco parodystycznym stylu prymitywnej, jakgdyby improwizowanej na tle uświęconego tekstu literackiego opery-operetki. Jeśli idzie o dekoracje i wypracowanie scen zbiorowych — wyrażono „Mirandolinę" scenicznie środkami wcale nowoczesnemi, pozostającemi, jak się przyznał inscenizator, pod wpływem stylowych dźwiękowych operetek i historycznego filmu współczesnego.

Ten „makilaż" Goldoniego, zdaniem znakomitego krytyka Noskowskiego, przydał się czarującemu Włochowi bardzo, gdyż „ród smakoszów literackich" mocno się u nas przerzedził i na to żadne biadania nie pomogą. Zato rozpleniła się familja miłośników widowiska. I na to również nikt nic nie poradzi w epoce kina, wielkiej operetki, rewji i — niemal wstyd wyznać — „komedji



„Mirandolina" C. Goldoniego na scenie poznańskiej, w reżyserji B. Dąbrowskiego w dekoracji Z. Szpingiera.



„Noc listopadowa" St. Wyspiańskiego na scenie łódzkiej, w reżyserji B. Dąbrowskiego, w dekoracji W. Daszewskiego. Obraz VII: W ulicy.



Akt I. „Przeprowadzki" K. H. Rostworowskiego na scenie lwowskiej, w reżyserji B. Dąbrowskiego, w dekoracji W. Daszewskiego.

muzycznej". To pokolenie o nowem uchu i oku, najłatwiej będzie nawrócić na wielką literaturę via dobre i zajmujące widowiska. Ani dla Goldoniego nie wynika stąd żaden wstyd, ani dla nas. Każdemu czasowi trzeba dać taką sztukę, jaką on sobie stwarza, — niech tylko będzie w najlepszym gatunku, a taki wypadek zachodzi z opracowaną przez p. Dąbrowskiego „Mirandoliną"...

* * *

Pracując w bież. sezonie w teatrach łódzkich, pozostających pod dyrekcją H. Wro-

Dokończenie na str. 31-ej

U POLSKIEGO LUKULLUSA



Oto jak wyglądała w roku 1850 słynna restauracja „Lapérouse"...



...a tak przedstawia się ona w roku 1937.

Kto nie zna Paryża, ten, przechadzając się po wybrzeżu Sekwany w pobliżu Placu św. Michała, nie zwróci nawet uwagi na małą restauracyjkę... Zaciekawiony widokiem pobliskiego Notre-Dame i bliższego jeszcze Pałacu Sprawiedliwości, leżącego na przeciwległym brzegu rzeki, spojrzy raczej na niekończący się rząd straganów, przysłowiowych bukinistów, lub na wielkie magazyny uniwersalne, chlubę Paryża.

Kto jednak jest naprawdę stałym bywalcem Paryża, ten zna i nazwę tej restauracyjki. Przechodząc koło „Lapérouse" spogląda z szacunkiem, gotów niemal skłonić głowę lub uchylić kapelusza... Tak samo czynili ojcowie i dziadkowie: restauracyjka ta posiada swoją tradycję, ściśle związaną z tą starą dzielnicą Paryża. Lecz choć zachowała tradycję, choć nie posiada olbrzymich nowoczesnych sal, tylko pokoiki o niskich powałach, zdobyła „Lapérouse" opinję pierwszej restauracji Paryża, miejsca spotkań smakoszów. Drzwi, choć staroświeckie i wąskie, stoją otworem dla każdego. Ten jednak, kto tu wchodzi, przygotowany jest na wydanie paruset franków... I choć na karcie widnieją potrawy i po kilkanaście franków, nikt nie siada tu, by zadowolić się omletem, czy zimną szynką. Takie już są w Paryżu tradycje! Nie wchodzi się do meczetu w obuwiu, nie wchodzi się do „Lapérouse" na jedną potrawę!

I ci jednak, którzy znają Paryż, i ci, którzy go nie znają, nie wiedzą, że właścicielem tego lokalu jest dziedziczący go po ojcu, Polak, p. Roger Topoliński!

Tak, Francja, słynna jest ze swego smakoszostwa, ale Polacy w kuchni francuskiej grają pierwsze skrzypce. Oto Topoliński, który zdołał mimo nieprawdopodobnej w Paryżu konkurencji postawić swą restaurację ponad innemi, oto jego syn, który mimo wzrastającej konkurencji najwykwintniejszych Paillard'ów, Voisin'ów i Foyot'ów renomę tę umie podtrzymać, oto Babiński (zmarły niedawno), którego księga kucharska, wydana pod pseudonimem „Ali-Baba" wzbudza do dziś podziw, oto prof. Pomian-Pożerski, autor kilkunastu francuskich książek kulinarnych, wykładający co roku w różnych instytutach francuskich stworzone przez siebie naukowe zasady wiedzy kuchennej. Nie bez powodu Francuz, obdarzony tytułem „księcia gastronomów" przybrał z polska brzmiący pseudonim Curnowski'ego!...

— Jakim cudem tak się dzieje? — pytam. Przecież Francja słynie....

Państwo Topolińscy przyjmują mnie w jednym ze saloników swego starego domu nad wyraz serdecznie, prostodusznie, prawdziwie po staropolsku, mimo, iż p. Roger Topoliński już nawet nie mówi po polsku, choć jest typem wybitnie słowiańskim.

— Polacy wnieśli do kuchni francuskiej wymyślne smaki i sosy zawiesiste, barwne nazwy potraw i potrawom tym nadali poetyczną formę. Tak przynajmniej wnioskuję, rozglądając się w dorobku mego ojca, Marjusza Topolińskiego, zmarłego w 1907 roku, po którym objąłem restaurację, mimo mych lat dwudziestu i rozpoczętej karjery „inżyniera-agronoma... Wiem, że moja rodzina przybyła do Francji z Polski w wieku ub. Mój pradziadek osiadł w Chambéry, a miejscowość ta w 1860 roku przeszła do Francji. Słynął on jako twórca eleganckiego obuwia damskiego. Dziadek, inżynier, posiadał fabrykę asfaltu i znany był jako poliglota, podobnie, jak i jego ojciec. Gdy wyjechał do Londynu, w ciągu kilku tygodni gruntownie opanował język! To zdolności typowo polskie! Mój ojciec dla każdego z dostojnych gości tworzył jakiś przysmak. Wymyślił więc „canard (kaczka) de Colette", potrawy dla Anatola France, Réjane, Mistiguette, Sary Bernhardt. Sałata Wielkiej Sary była skomponowana z trufli ze selerami, symbol ziemi i nieba... Pozostanie sekretem Topolińskiego-poety, dlaczego potrawa Mistinguette to nerki cielęce! Hrabiemu Moltke podał osobiście kaczkę z sardelami (anchois)... Scena nadawała się do filmu, gdy dygnitarz niemiecki wahał się, czy wziąć do ust pierwszy kąsek„ a mistrz sztuki kulinarnej gorąco go namawiał... Dla pana de Nalèche, dyrektora „Journal des Débats" stworzył danie, skomponowane z kury i z węgorza w sosie z czerwonego wina; o doborze ingredjencji zdecydowała białość obu mięs. kontrastujących z czerwienią sosu i rozumiejąc, że skoro kura „zgadza się" z winem czerwonem, to i węgorz również, można więc spróbować melanżu... Inny specjał, to „la barbue amoureuse" (flondra zakochana). Potrawę tę podano w pewnym gabinecie — „Co to jest?" — pytał gość. — „Nie powiem, zobaczy pan" — odparł tajemniczo mistrz Topoliński, uśmiechając się i zerkając filuternie...

Właściciela sąsiedniego pięciopiętrowego słynnego magazynu „La belle Jardinière", pana Bigorne, obsługiwał od 30 lat ten sam kelner... Pan Bigorne przychodził tu aż do swej śmierci (w 1934), ale w tejże restauracji dawał swój pożegnalny obiad, zaciągając się w szeregi francuskie w dobie wojny 1870! Słynny organista, prof. Vidor, członek Instytutu, zmarły w r. ub., bywał tu samotnie 3 razy tygodniowo i oczekując cierpliwie na zamówione specjały w oddzielnym gabinecie, jednocześnie komponował swe dzieła muzyczne.

Menu obfituje w potrawy arcyzabawne, wszystko pomysłu Marjusza Topolińskiego. Więc „Jeune premier du quai" (pierwszy amant z wybrzeża), to wykwintne prosię... „Saucisse de poète sur son lit de purée (kiełbasa poety na jego łożu „nędzy"...), to parówka z tuczonych wątrobek truflowanych na podłożu „purée" z ziemniaków... Jest i homar: „Me veux-tu?..." (czy mnie pragniesz?...), co w zacisznych gabinetach musi być niemal obiektem ze strony... smakowitego homara. „Serce Toselli'ego" w „Laperouse" łączy się i ze serenadą Włocha i z „sercem" korczochów... Stałym gościem bywał tu dr Babiński (Ali-Baba). Raz Mariusz Topoliński specjalnie wezwał swego kuchmistrza, by gość mu objaśnił, jak przyprawić pewną potrawę swego wynalazku. Babiński wykładał obszernie, kuchmistrz zapewniał, że zrozumiał. ale odchodząc szepnął do swego pracodawcy: „Zrozumiałem, ale zrobię po naszemu!" Babiński był niemniej zachwycony ze... „swej" potrawy.

Oto, dla naszych Czytelników, zdradzone dwa sekrety tej pierwszej restauracji Paryża:

„LE GRATIN DE HOMARD BABIŃSKI".

Wziąć żywego homara. Umyć i pokrajać na cienkie krążki. Oddzielić łapki i przeciąć skorupę podłużnie. Usunąć wnętrzności. — Krążki zaprawić solą i pieprzem. Na patelni silnie podgrzać 50 gr masła. Do tego wrzucić krążki homara. Poruszać tak długo, aż skorupka zaczerwieni się. Dolać szklankę koniaku szampańskiego (fine de champagne) i zapalić. Dolać decylitr wina białego „sec" (niesłodkiego) i pół litra świeżej śmietany. Przykryć i gotować 20 minut Oddzielnie smażyć w maśle pieczarki drobno pokrajane w plasterki. Gdy homar ugotowany, wyjąć krążki mięsa ze skorupek i przełożyć do rondla z grzybkami. Dodać trochę koperku. Dokończyć sos, dodając łyżeczkę mąki, rozrobionej z orzeszkiem masła, zagotować sos przecedzić, dodać do homara już gotowego, posypać parmezanem tartym i wstawić do gorącego pieca. Wyjąć w chwili podania...

I „już" gotowe! Oto druga recepta, na pociechę gospodyń polskich, nie rozporządzających wyżej użytemi specjałami.

PULARDA DOKTORA.

Wybrać ładną pulardę, zaprawić solą i pieprzem, i piec („poêler"), troskliwie polewając masłem. Gdy już w trzech czwartych gotowe, dolać duży kieliszek czerwonego porto, a gdy wsiąknie, dodać pół litra wyborowego sosu cielęcego i kończyć pieczenie troskliwie doglądając, by nie zeschło. Oddzielnie podsmażyć na maśle wątróbkę kurzą i jeszcze zlekka czerwoną (krwistą) pokrajać na czworo. Do wątróbki dodać paseczki cielęciny i zasmażyć razem. Dodać świeżej, posiekanej bylicy (trawka „estragon") i na tym sosie, zaprawionym do smaku, umieścić pulardę, podając bardzo gorące.

* * *

Poniżej: Jedna z piwnic restauracji „Lapérouse" — służąca do przechowywania szampana.



Jak widzimy, nasz rozmówca jest nad wyraz uprzejmy i gościnny. Pokazuje nam jeszcze cały lokal z błyszczącą kuchnią o szeregach miedzianych rondli — włącznie. Sal, salonów i saloników jest tu mnóstwo. Każdy w innym stylu. Jest salonik Lafontaine'a, nazwany tak od motywów dekoracyjnych. W innym uwagę zwracają dywany i tkaniny flamandzkie. Na jednem z luster „podpisanych" diamentami pierścieni, znajdujemy datę: „1880..." — lecz „Lapérouse" istnieje znacznie dłużej. Kiedyś był to zajazd portowy. W tym miejscu zakotwiczano statki udające się do Londynu... Bliskość Hal centralnych powodowała, że lokal ten był jednym z tych, niepozornych kiedyś, jak i dziś, które słynęły z dobrych win i paru znanych potraw. Schodzili tu się adwokaci i sędziowie z pobliskiego Pałacu Sprawiedliwości, kupcy z Hal, bukiniści z wybrzeża, marynarze... W 1785 roku zawitał tu słynny podróżnik, Lapérouse, pozostawiają tu wraz ze wspomnieniem i swe nazwisko. W sąsiedztwie w tej epoce pełno było klasztorów i pałacyków. Najbliższy, klasztor Augustynów, słynął z tego, że chronili się doń żacy w obawie kary, klasztor ten posiadał bowiem prawo eksterytorjalności. Na rogu mieścił się (obowiązkowy) targ drobiu... Klientela zmieniała się w „Lapérouse". A jednocześnie lokal rozrastał się. Przybrał pierwsze, potem drugie piętro. Dziś zajmuje dwa domy sąsiednie.

Gdybyż te mury umiały opowiedzieć, co widziały! Gdybyż służba była mniej dyskretna... Zamiast nich przemówił jeden z gości, Anatol France, wielokrotnie cytujący „Lapérouse" w swych dziełach. Wiadomo, że we Francji bankiet jest miejscem obrad i niekiedy najważniejszych decyzyj. Litanja nazwisk bywalców wprawia nas więc w tych warunkach w zadumę: Robert de Flers, Agha Chan, Bailloux, Briand, Painlevé, Barthou, Ivar Kreuger, infanci Hiszpanji, gen. Eliesco, dr. Straaf, Jules Cambon, Boni de Castellane, biskup Julien z Arras, Cécile Sorel, Chevalier, Rostand, marszałek Lyautey, książę Saganu, Barrès, Herriot, książę Murat, komik Dranem, jen. Joffre, Curie, księżna Juljana Holenderska, król Syjamu i król nafty, sardynek i zapałek, Hiszpanji i Holandji... Uczony i duchowny, wojskowy i artysta, przemysłowiec i aktor... I piękne panie... Świątynia smakoszów, świątynia polityki i finansów, świątynia miłości, grób największych sekretów, przez które pod ostrym kątem zmieniał się los świata. „Lapérouse"! Nie... Nie przesadzam!

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

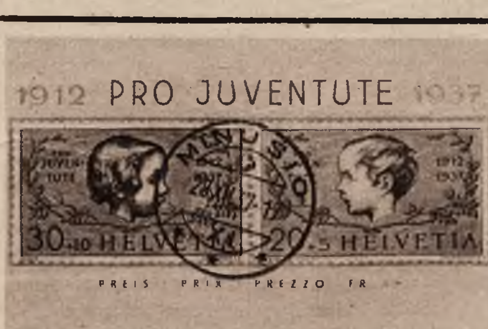
KĄCIK FILATELISTYCZNY

Najnowszy katalog Witkowskiego, wydany w ostatnich dniach grudnia przynosi znacznie poważniejsze zmiany aniżeli to miało miejsce rok temu. Nie ulega wątpliwości, że pomyślniejsza sytuacja gospodarcza pociąga za sobą zwyżkę cen przedmiotów czy towarów luksusowych, jakiemi są bezwątpienia i znaczki, ale niemniej filatelistyka zatacza dzisiaj coraz szersze kręgi — no i nie sposób zdobyć już dobrą sztukę po okazyjnej cenie.

Nie można się z tem pogodzić, mimo wyjaśnienia na wstępie, że cena za najtańsze znaczki oznaczona jest stale na 5 groszy. Nie potrzeba nikomu chyba tłumaczyć, że całą masę znaczków polskich można nabyć po groszu — świadczy to tylko o tem, że katalog Witkowskiego pragnie być katalogiem rabatowym na wzór Michla. Otóż mimo bezsprzecznie bardzo trafnego — stosunkowo — oznaczenia cen są one za wysokie i trzeba od nich odliczyć pewien procent, by otrzymać ceny kupieckie, a prawie połowę, by ustalić ceny „towarzyskie". Określenie to, może trochę ironiczne, jest niemniej bardzo słuszne, gdyż właśnie w stosunkach towarzyskich, rozgałęzionych bardzo szeroko między zbieraczami, a dzięki którym omija się sprytnie handlarzy, istnieje inny kurs, w danem mieście bardzo ściśle przestrzegany.

W Krakowie na przykład, są znaczki tańsze aniżeli gdzieindziej i już za 30 groszy można dostać t. zw. punkt. Michla, a „zamorskie" jeszcze niżej, gdyż ich mało kto poszukuje. Nowy cennik jest naogół bardzo dodatnią pozycją w naszym świecie i spodziewamy się wkrótce rozszerzenia wydania na najważniejsze przynajmniej wydania. Ka-

Dokończenie na str. 31-ej



Najnowszy bloczek znaczków szwajcarskich, wydany na cele pomocy dla młodzieży.

Bożena ALESSO



Dość spojrzeć na milutką, młodą buzię panny Bożeny, na jej dziewczęcą figurkę, aby bez skrupułów zaliczyć ją do najmłodszych gwiazd naszej sceny. Mimo jednak swych nielicznych latek, ma Bożena Alesso za sobą już poważną karjerę, od scenki rewjowej „Wesołego Oka", do „Casino de Paris", gdzie występowała w lecie roku bieżącego przez trzy miesiące, i wreszcie do stanowiska solistki baletu Opery Warszawskiej, najnowszego engagement młodej tancerki.

Bożenę Alesso znamy przedewszystkiem jako wybitną tancerkę akrobatyczno-plastyczną. Za czasów, gdy jako siedemnastoletnia dziewczyna wystąpiła po raz pierwszy w Warszawie w „Wesołem Oku", nazywano ją kobietą-wężem. W nazwie tej nie było przesady. Potem przez długi czas nie widziano młodej artystki na scenach stołecznych. To też miłą niespodzianką, a przytem nieoczekiwaną ze względu na charakter tańca, było ukazanie się p. Alesso jako solistki, w pięknym tańcu akrobatyczno-klasycznym w operze „Legenda Bałtyku", ostatniej premjerze Teatru Wielkiego. W bieżącym miesiącu wystąpi p. Alesso w roli akrobatki w operetce „Księżna Cyrkówka", która wchodzi na repertuar Teatru „8.15" w Warszawie.

Nie zetknęliśmy się dotychczas bliżej z zagadnieniem tańca akrobatycznego, to też zarzucamy pannę Bożenę licznemi pytaniami. Słyszymy odpowiedzi miłe, bezpretensjonalne i często poparte serdecznym uśmiechem.

— Przedewszystkiem ustalmy pani „rodowód" — proponuję. Podobno pochodzi pani z Poznańskiego?

— Tak jest — mówi p. Alesso — jestem poznanianką z krwi i kości...

— Jakto — przerywam, żartując: — przecież pani kości nie ma! Sądząc z pani tańca...

— Gdy się urodziłam, podobno je miałam — śmieje się panna Bożena. — Pochodzę z Poznania. Gimnazjum kończyłam w Toruniu. Mój debjut sceniczny odbył się w mem rodzinnem mieście, w Poznaniu, z czego byłam bardzo dumną. Miałam wówczas... czternaście lat!

— A jak to jest właściwie z tym tańcem akrobatycznym? W jaki sposób dochodzi się do podobnej, jak u pani, precyzji w nadaniu giętkości ciału?

— Jest to sprawa wyłącznie długiej i żmudnej gimnastyki. I wielkiej cierpliwości. Całemi latami ćwiczyłam po kilka godzin dziennie, i wreszcie doszłam do tego, co umiem. Przyznam się jednak panu, że mam dość akrobatyki i obecnie pilnie uczę się tańca klasycznego.

— O! Czyżby przewidywała pani zmierzch tak modnego tańca akrobatycznego?

— To nie. Byłam przez trzy miesiące w Paryżu, gdzie występowałam w „Casino de Paris" jako solistka w zespole Tacjany Wysockiej i przekonałam się, że taniec akrobatyczny jest tam nadal bardzo popularny. Jednakże, jeśli chodzi o mnie, wyczerpałam już wszystkie problemy tego tańca. Trzeba szukać innych dróg i znalazłam je w tańcu klasycznym, który jest bardziej niewyczerpany w możliwościach.

— Nie wyrzeknie się chyba jednak pani akrobacji zupełnie; — mówię — powiedzmy, w życiu codziennem, przyda się ona pani napewno!

Bożena Alesso śmieje się serdecznie i odpowiada:

— O tak. Jakieś poślizgnięcie się na posadzce, jakieś ciemne schody, to drobiazg dla tancerki-akrobatki. Gdy się pada na ziemię, to doprawdy wszystko jedno czy noga „zostanie" z przodu czy z tyłu!... To wygimnastykowanie przydaje się zwłaszcza przy sportach.

— Zapewne nie obce są pani wszystkie rodzaje sportów?

— Naturalnie! Z zamiłowaniem uprawiam narciarstwo, jazdę na rowerze, grę w tenis, jazdę kajakiem. Poza tem mam dwie namiętności.

— Aż dwie namiętności? Czy nie za wiele?

— Obydwie są spokojne i wymagają raczej ciszy, niż tego wszystkiego, co składa się na pojęcie: namiętność. Będzie pan rozczarowany, gdy się pan dowie o czem mowimy. Pierwsze, to psy. Lubię je szalenie i mam kilku swych ulubieńców. Drugie, to gospodarstwo domowe. Na scenie tańczę i pokazuję karkołomną akrobację. W sportach szaleję. A w domu — jestem poprostu cichą, rozmiłowaną w gospodarstwie gosposią. Wiem, co pan myśli w tej chwili... że jedno z drugiem i trzeciem nie daje się jakoś pogodzić. Prawda?

— Mój Boże! — odpowiadam filozoficznie — kobiety pozostaną zawsze zagadką...

Romil.

Nowela odznaczona
II. nagrodą
na konkursie „Asa”
na najlepszą nowelę

MODLITWA * DZIECKA

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

Dziś rano we wzroku doktora ujrzałem wyrok śmierci na siebie. Dziwna to rzecz, doprawdy, ale chorzy, leżący w łóżkach od dłuższego czasu, dochodzą do tak wysokiego stopnia przesubtelnienia, a raczej powiedziałbym przenikliwości, że żadna myśl, czająca się w oczach osób otaczających, nie może ujść ich uwagi. To też pomimo, że poczciwy doktór poklepał mnie jowialnie po ramieniu, a żonie mojej rzucił głosem stanowczym kilka słów otuchy na pożegnanie, myśli swojej prawdziwej nie mógł jednak ukryć przede mną.

Wiedziałem, że umieram.

Raptowna poprawa, lekki przypływ energji i powrót sił podobne były do ostatniego błysku dogasającego ogniska. Wiele osób bierze to zazwyczaj za dobrą oznakę. Dlatego też żona moja była uszczęśliwiona. Uśmiechała się do mnie promiennemi oczyma i drżącemi z nadmiaru tłumionej radości rękami, poprawiała poduszki na łóżku, obciągała kołdrę i porządkowała stolik z lekarstwami.

Syn mój był mniej powściągliwy. Chodził szybko po pokoju i opowiadał nam, nie dbając o to, czy go słuchamy, że należy zawczasu starać się o paszporty zagraniczne, gdyż po tak ciężkiej chorobie wyjazd do ciepłych krajów jest konieczny.

W nogach łóżka stała moja dziesięcioletnia córeczka, wodząc oczyma po mojej twarzy bez drgnienia powiek, bez uśmiechu.

W pewnym momencie oczy nasze spotkały się. We wzroku córki, obok niesłychanej powagi, tkwiło zapytanie. Wyglądała tak, jakby czekała mojej odpowiedzi, nie mając odwagi wyrazić swej myśli słowem.

Lekko przymrużyłem lewe oko, usiłując wywołać uśmiech na jej twarzy, lecz nie osiągnąłem żadnego rezultatu. Twarz dziecka pozostała nieruchoma, tylko wzrok stał się bardziej ostry i natarczywy.

Wówczas zaniepokoiłem się szczerze. Zachowanie się dziecka było nienaturalne i niczem niewytłumaczone. Nie mogła przecież domyślać się tego, co wiedziałem ja i co stwierdził mąż nauki.

A gdyby?

Ostry ból przeszył mi serce. Myśl, że dziecko to jest wspólnikiem strasznej tajemnicy, wydała mi się potworną.

Tając tedy w sobie najżywszy niepokój, zaryzykowałem pytanie:

— Inuś! Córeczko moja! Czemu się nie cieszysz?

Dźwięk mego głosu przerwał nagle wywody syna i spłoszył żonę. Spojrzeli na mnie, potem na siebie, jak ludzie, usiłujący sobie wzajem dopomóc do zrozumienia sytuacji. Pierwszy opanował się syn.

— Racja! — wykrzyknął — słuchajno, mała! Co ci się stało?

Odpowiedzi nie było. Twarz dziecka pozostała nieruchoma, tylko oczy z nową pasją wpiły się we mnie.

Wówczas żona zbliżyła się do niej i położyła rękę na jej główce.

— Inuś! Dlaczego się nie cieszysz? Przecież tatuś wyzdrowiał!

Główka dziecka poruszyła się zwolna i z ust wybiegł cichy szept:

— Nie, mamusiu!

Osłupieliśmy wszyscy. Ja z innych, aniżeli żona i syn, powodów.

Jak z oddali doleciał mnie głos syna

— Co ty bajdurzysz?!

Wtedy... stało się! Inuś pobiegła do mnie i objęła mnie za szyję. Z oczu jej trysnęły strumienie łez, a z ust wyrwał się krzyk przeraźliwy, bezradny:

— Tatuś umrze! Pan doktór kłamie! Tatuś umrze!!

— — — — — — — — —

Wstrząsające wrażenie, jakie wywarł na nas okrzyk Inusi, powoli minęło. Zapłakane dziecko oderwano przemocą od mego łoża i wyprowadzono do dziecinnego pokoju. Wybuch rozpaczy syn mój wytłumaczył przedenerwowaniem, jakie wszyscy przeżywali w czasie mej choroby. Żona przyjęła to z pewnem wahaniem, bowiem przedziwna intuicja kobieca, nagle zaostrzona, pobudziła ją do podejrzliwości. Dodawałem jej odwagi uśmiechem, ilekroć spojrzała na mnie.

Było mi niewymownie smutno, że musiałem ich okłamywać. Przychodziły chwile, w których chciałem powiedzieć im, że umieram, że czekam na ich ratunek, że chcę żyć razem z nimi, ale dogasającą siłą woli powstrzymywałem się, wiedząc i czując, że ratunek dla mnie jest niemożliwy. Rak wątroby zanadto poszarpał mi wnętrzności, ażebym mógł żyć.

Pozostałem więc samotny w swej cichej rozpaczy i oczekiwaniu.

Drętwienie nóg i zwalnianie pulsu było pierwszym sygnałem zbliżającej się agonji. Odczułem to zupełnie wyraźnie i zorjentowałem się natychmiast, gdyż, jako lekarz, niezliczone razy słuchałem zwierzeń moich umierających pacjentów. Na śmierć niema lekarstwa — przypomniałem sobie słowa jednego z moich kolegów i mimowoli uśmiechnąłem się. Natura ludzka organicznie nie znosi unicestwienia i buntuje się zawsze przeciw temu. Żyć — oto wszystko. Czy na tym, czy na innym świecie, czy w tej lub innej formie, ale zawsze żyć! Ja zaś czułem, że nie ulegam żadnym przeobrażeniom, ale poprostu umieram.

Zdawałem sobie z tego sprawę, że mam jeszcze blisko godzinę czasu przed sobą, ale nagły żal, że więcej oglądać nie będę moich bliskich — sprawił, że skinieniem ręki przywołałem syna i żonę do siebie i kazałem im usiąść po obu stronach łóżka. Wtedy począłem się im przyglądać, chłonąc w siebie umiłowane twarze. Najdroższe istoty uśmiechały się do mnie z rozrzewnieniem, sądząc, iż w ten sposób okazuję swą radość z powrotu do zdrowia.

Oddech miałem coraz bardziej utrudniony, ale starałem się jaknajmniej korzystać z powietrza, ażeby to nie zwróciło uwagi żony i syna. Uśmiechałem się do nich możliwie najczulej i mimowoli wyciągnąłem ręce. Dłonie nasze spotkały się. Syn ujął rękę moją oburącz, żona, schyliwszy się, przylgnęła do niej policzkiem.

Nadeszła chwila pełna goryczy.

Tętno pulsu poczęło wyraźnie ustawać i

od końców palców aż do łokcia odczuwałem posuwające się przenikliwe zimno.

Sygnał zbliżającej się śmierci żona i syn odczuli — jednocześnie. Żona wyprostowała się nagle i oczyma, pełnemi zdumienia, spojrzała na mnie. Po kilku sekundach zdumienie jej ustąpiło miejsca bezdennej rozpaczy. Na ustach wpółotwartych zamarł krzyk przerażenia.

Syn mój reagował inaczej. Tylko przez jedną chwilę ujrzałem na twarzy jego przestrach. W następnej już sekundzie oczy błysnęły mu jak stal, a rysy ścięły się w nieubłaganej stanowczości.

Wiedziałem, co to znaczy. Biedny chłopak nadludzkim wysiłkiem woli zdusił w sobie strach i rozpacz synowską, odrzucił wszelkie osobiste odczucia i postanowił rozpocząć walkę ze śmiercią. Przez chwilę jakby zbierał myśli, poczem zerwał się z krzesła i runął we drzwi. Zanim zorjentowałem się, dokąd biegnie, już usłyszałem głos jego w sąsiednim pokoju, wzywający przez telefon pogotowie ratunkowe.

W tym czasie począłem się dusić. Pomimo śpiesznego łowienia powietrza miałem go nagle zamało. W głowie poczęło mi się mącić, w uszach powstał nieznośny szum. Drętwienie nóg i rąk stawało się coraz silniejsze.

Wtem do mojej zamierającej świadomości doleciał słaby głos dzwonka. Przyjechało pogotowie. Młody, przystojny lekarz, lat trzydziestu kilku, stanął z walizeczką w ręku w nogach mego łóżka i przyglądając mi się bacznie, słuchał krótkich objaśnień mego syna co do przebiegu choroby. Następnie syn znikł z pola widzenia. Na jego miejscu zjawiła się postać mojej żony, poczem dziwna mgła zasłoniła mi oczy.

Wtem poczułem lekkie ukłucie w prawej piersi. Robią zastrzyk — przemknęło mi przez mózg. Po kilku sekundach chaosu, jaki powstał w moich myślach, odczułem nagle rozlewające się ciepło wewnętrzne, przypływ sił i możność głębszego oddechu. W oczach mgła opadła i nagle ujrzałem pochylone nade mną twarze żony, syna i doktora. Wszystkie miały na sobie wyciśnięte piętno niesłychanego napięcia uwagi i stanowczości. Syn mój naciskał balon z tlenem, a żona trzymała mi w ustach koniec rurki gumowej, zakończonej czemś w rodzaju kieliszka. Nigdy nie przypuszczałem, że tlen może być ożywczy. Po kilku głębszych oddechach czułem się zupełnie dobrze. Szum w głowie ustał, tylko nieznośne drętwienie nóg i rąk dokuczało mi w dalszym ciągu.

W tej chwili doktór, jakby zgadując moją myśl, zerwał gwałtownym ruchem kołdrę z łóżka i począł energicznie rozcierać mi nogi. Niestety — nie czułem już jego dotknięcia.

Z odzyskaniem świadomości odezwały się nanowo przygłuszone cierpienia. Czułem, że mi jakiś piekielny ogień pożera wnętrzności. Ból tak był straszliwy, że poprostu poczułem nienawiść do syna i doktora, że nie pozwolili mi umrzeć spokojnie. Zapomniałem o tem, że sam modliłem się w głębi duszy o ratunek przed śmiercią.

Wtem poczułem wyraźnie, że serce moje poczyna bić gwałtownie. W uszach powstał nanowo nieznośny szum, a w głowie zamęt. Pomimo, że znajdowałem się w ciepłym pokoju, mróz począł szczypać policzki. Czułem, że się pocę, a zarazem, że mi jest zimno.

Nagłe pogorszenie zostało natychmiast zauważone. Doktór coś krzyknął. Żona wybiegła z pokoju. Po sekundzie wróciła z czajnikiem gorącej wody. Buchnęła para z miednicy i ujrzałem, jak doktór zanurza w gotującej się wodzie ręczniki, wyżyma je i pochyla się nad moją twarzą. Balon z tlenem odjęto od ust. Jakaś płachta przysłoniła mi oczy i przez nią wyczułem palce doktora, który zaczął mi gładzić, masować i nacierać gorączkowo całą twarz. Drętwienie policzków i chłód na czole ustąpiły pod działaniem gorącego ręcznika i masażu. Czułem tylko, że się duszę. Chciałem krzyknąć, chciałem odepchnąć doktora od siebie, gdy on zerwał nagle ręcznik i zajrzał mi w oczy. Prąd ożywczego powietrza wpadł mi do płuc. Odprężyłem się. W tej chwili uczułem lekkie ukłucie w lewej piersi. Drugi zastrzyk — przemknęło mi przez mózg. A jednak na śmierć niema lekarstwa — pomyślałem jeszcze. Chciałem żyć i począłem wierzyć, że nie umrę.

Z ciałem mojem działo się coś dziwnego. Nóg nie czułem zupełnie, ręce mi marzły i powoli traciłem poczucie, że je posiadam. W głowie czułem ogromny zamęt, szum zaś w uszach wzmógł się do niesłychanego ryku spiętrzonych wód. Jedynie oczy widziały wyraźnie. Pomimo długiego kompresu i masażu polepszenie nie następowało. Czułem śmierć — czuła ją widać moja żona, usiadła bowiem na łóżku, wzięła w dwie ręce moją głowę i zajrzała mi z rozpaczą w oczy. Uśmiechnąłem się do niej — i to był mój ostatni wysiłek fizyczny na tym świecie.

Skutkiem niemożności oddychania, straszliwy ból orał mi płuca. Wnętrzności paliły ogniem. Czułem w brzuchu wściekłe szarpanie, skurcze i wzdęcia. Szum w uszach stał się jednym, nieprzerwanym grzmotem. Miałem wrażenie, że ciało moje huśta się na grzbietach zbałwanionych fal w czasie burzy. Wznosiłem się wgórę i opadałem z piorunującą szybkością.

Nagle olśniewająca jasność oślepiła mi źrenice. Coś jakby błysk piorunu, w którego osiągu znalazłem się sam jeden. Morze płomieni, trwające ułamek sekundy. Cierpienia stały się nie do opisania. Płonąłem bólem. Wszystko rwało się we mnie i rozpadało na tysiączne cząsteczki. Wtem błyskawica zgasła. Otoczyły mnie nieprzenikniome ciemności. Zamęt w głowie ustał. Szum w uszach przycichł. Żadne odgłosy zewnętrzne nie przedostawały się do mojej świadomości. Nie odczuwałem żadnego ognia we wnętrznościach.

Przestałem cierpieć!

— — — — — — — — —

A jednak nie umarłem. To, co ludzie nazywają śmiercią, jest tylko przemianą formy istnienia. Zachowałem przytem całą pełną świadomość swej osobowości. Stałem się duchem, o którym ludzie tak wiele pisali i piszą, a tak mało wiedzą. Nie czułem w sobie oczu ani żadnej innej, bardziej określonej formy patrzenia i istnienia. Czułem tylko, że jestem obecny. Widziałem, a raczej odczuwałem istnienie pokoju, w którym umarłem przed chwilą. Z pewnem zaciekawieniem zwróciłem uwagę na swoje ciało, leżące w łóżku. Ciekawość całkiem uzasadniona, po raz pierwszy w życiu mogłem się przypatrywać sobie, jak komuś obcemu. Byłem zdziwiony, nie mogąc wyczuć żadnej łączności z własnem ciałem.

Straszliwy płacz żony, całującej mego trupa, był mi nadwyraz przykrym. Mojem zdaniem nie było żadnego powodu do płaczu. Skoro bezpośrednio po śmierci własnej przekonałem się, że jestem sobą, że zachowałem pełną świadomość pomimo zupełnego braku formy — byłem szczęśliwy.

Próbowałem żonę pocieszyć. Obejmowałem ją, tuliłem, całowałem, krzyczałem głośno, że żyję, że wszyscy razem niedługo się zobaczymy, ale starania moje nie osiągały żadnego rezultatu. Żona nie widziała i nie czuła mojej obecności. Nie słyszała słów, nie rozumiała myśli. Była przekonana, że leżę w łóżku martwy.

Tymczasem syn szamotał się z doktorem. Twarz mego chłopca zionęła wściekłością, doktora — przerażeniem.

— Łotrze! Tyś go zabił!

— Nie zabił, synku, nie! — zawołałem doń z całej mocy, ale również bezskutecznie. Obaj nie dosłyszeli mego głosu i szamotali się nadal. Począłem ich rozdzielać, ale przechodziłem przez ich ciała, jak przez powietrze. Kiedy chwytałem syna za ręce, czułem, że mi ona jak dym ulatnia się z uścisku. A może to moje ręce miały tę właściwość? Nie wiem! Nie miałem przecież oczu, nie widziałem! Odczuwałem raczej najmniejszy przedmiot koło siebie, najmniejsze poruszenie się otaczających mnie ludzi. Odczuwałem to z daleko większą dokładnością, aniżeli za życia ziemskiego mówiły mi to własne moje oczy.

Nagle syn puścił doktora, rzucił się na ziemię i począł płakać. Rozpaczałem wspólnie z nim nad jego cierpieniem, ale pomimo wielokrotnych prób z mojej strony, nie mógł odczuć mojej obecności. Napełniło mnie to goryczą. Odszedłem w kąt pokoju i cierpiałem w milczeniu, patrząc bezsilnie na rozpacz moich najbliższych.

W pewnej chwili zwróciłem myśl swoją ku córce. Gdzież ona jest? Co się z nią stało? W tej sekundzie poprzez ściany naszego mieszkania, jakgdyby zbudowane one były z najczystszego szkła, ujrzałem moją najdroższą Inuś w jej pokoiku dziecinnym, przed obrazem Matki Boskiej. Dziecko klęczało, trzymając rączki wzniesione ku górze, całe zatopione w gorącej modlitwie!

Zbliżyłem się do niej.

Twarzyczka Inusi zalana była łzami. Z ust boleśnie skrzywionych wydobywał się szept gorączkowy:

— Mateńko święta... Daj zdrowie tatusiowi... Nie zabieraj go nam... Zmiłuj się nade mną... Weź mnie, a tatusia zostaw... Mateńko święta... Mateńko święta!....

Przeszyła mnie nagle błyskawica ogromnego bólu. Biedactwo nie wiedziało jeszcze, że ojca niema już na tym świecie.

— Inuś! Dzieciątko! Jestem!!! Żyję!

Byłem w śmiertelnym strachu, że nie usłyszy mnie i nie zrozumie. Całowałem i tuliłem ją do siebie i płakałem z nią razem.

Wtem Inuś drgnęła nagle i zwróciła oczy w moją stronę. Całem jestestwem swojem odczuła, że mnie widzi.

— Tatuś?... — posłyszałem cichy szept — zapytanie.

Oszalałem z radości.

— To ja, dziecino, to ja! Umarłem, a jednak żyję i jestem przy tobie!!

Twarzyczka jej pobladła zlekka.

— Tatuś... umarł?!

— Inuś! Najdroższa Inuś! Nie martw się! Nie płacz! Nie wolno płakać!

— Dobrze... — odparła bezdźwięcznym głosem, wciąż patrząc na mnie.

— Idź, dziecinko, idź do matki! Pociesz ją! Powiedz, że ja żyję!

— Czy przyjdziesz do nas tatusiu?...

— Co?! Co mówisz?! Wy do mnie tu przyjdziecie! Idź do matki! Idź! Ona płacze!

— Pocałuj mnie, tatusiu!...

Cały drżący z niewysłowionego szczęścia tuliłem i pieściłem moje maleństwo. Poddawała się temu biernie, z przymkniętemi oczyma. Po chwili powstała z klęczek i poszła cichym krokiem do pokoju, w którym umarłem.

Zostałem sam. Byłem poruszony do głębi przeogromną rozkoszą obcowania z ukochanem dzieckiem. Byłem oszołomiony triumfem życia nad śmiercią. Niema śmierci! Niema rozłąki!

Spojrzałem na obraz Matki Boskiej. Zdawał się do mnie łagodnie uśmiechać. Pełen wdzięczności, pokory i zachwytu wyciągnąłem doń ręce.

— Matko święta! Matko Boga Żywego! Ulituj się nad memi dziećmi, jakożeś się nade mną ulitowała!

W tej chwili porwał mnie wir straszliwy. W mgnieniu oka zniknęły ściany pokoju, w którym znajdowałem się, zniknęło miasto, w którem tyle lat spędziłem, zniknęła ziemia pod stopami. Czułem, że pędzę z szaloną szybkością w przestrzeń ciemną, między gwiazdy.

* * *

Nie przyszło mi na myśl, dokąd pędzę. Nie czułem ani zimna, ani ciepła, nie była mi przykrą szalona szybkość, z jaką dążyłem ku gwiazdom, ani nie obawiałem się braku powietrza, ponieważ nie potrzebowałem oddychać.

Coraz mocniejszem światłem witały mnie gwiazdy, coraz głębiej zapadała się ziemia. Nagle zalały mnie potoki światła słonecznego. Gdziekolwiek zwróciłem głowę, wszędzie

mijałem większe lub mniejsze ciała niebieskie. Niektóre z nich kipiały wprost wulkanami i gejzerami. Wylewała się lawa, buchał ogień, wzbijał się dym ku górze. Formowało się na nich życie. Drugie były milczące, samotne i martwe.

Nie wiem, jak długo trwała moja podróż. W moich warunkach poczucie czasu stało się dla mnie zagadką. Może to była godzina, a może rok cały. Nie czułem żadnych zmian temperatury. Nie zdawałem sobie sprawy, w jaki sposób odbywam podróż. Dlaczego nie spadam gdzieś w przestrzeń, ziejącą ogromem pode mną? Co jest celem mojej podróży?

Wszystko jednak, co się ze mną działo, nie było przeciwne moim chęciom. Miałem niczem niewytłumaczonę pragnienie znaleźć się poza obrębem ziemi. Więcej nawet: poza obrębem gwiazd, planet i innych światów.

Powoli słońce gasło. Właściwie źle się wyrażam. Promienie słońca przestały do mnie dochodzić. Znalazłem się poza ich zasięgiem. Nie mijałem więcej gwiazd. Nie było ich na mojej drodze. Straszliwa pustka wchłonęła mnie w siebie.

W pewnej chwili doznałem wrażenia, że ktoś mnie woła, lub może — myśli o mnie. Wzbudziła się nagle we mnie gorąca chęć posłuszeństwa. Dlaczego — nie wiem. Ktoś wołał, a ja pragnąłem jak najszybciej znaleźć się przy nim. Mknąłem jak wicher, jak burza, niepomny na nic, bez czucia, bez myśli, z jedynem pragnieniem wykonania rozkazu.

Nie widziałem nic, a jednak przedziwne wzruszenie przenikało moją świadomość. — Wzruszenie przerodziło się niebawem w zachwyt, ten zaś w ekstazę. Bez żadnej z mojej strony przyczyny napełniły mnie najbardziej wzniosłe uczucia. Rozkosz, granicząca z obłędem, miłość paląca, upojenie bezmierne i miljony gwałtownych uczuć wstrząsnęły do głębi mojem jestestwem. Czułem, że się duszę, że brak mi tchu, że po raz drugi umieram. Czułem, że jeszcze chwila takiej ekstazy, a przestanę być sobą, stracę poczucie swego ja, stanę się okruchem kosmicznym, a nie twórczą myślą ludzką.

A wtenczas — doznałem olśnienia. Zrozumiałem, że stoję przed Bogiem.

* * *

Co było potem — nie pamiętam. Jak przez mgłę tylko przypominam sobie, że mknąłem z ogromną szybkością zpowrotem, czując, że tak być musi. Straszliwą pustkę — obłędną przestrzeń, w której nic nie było — przebyłem w drobnym ułamku sekundy. Zresztą — nie wiem. Jak już powiedziałem, czas był dla mnie zagadką. — Znalazłem się nagle w osiągu promieni słonecznych. Mijałem z szybkością błyskawicy gwiazdy i meteory, błądzące samotnie po niebie. Czarna plamka, przysłaniająca mi jedną miljardową część słońca — ziemia — rosła w oczach przerażająco. Zanim zdołałem pomyśleć — ściany pokoju przepuściły mnie do wewnątrz.

Wtem straszliwy, nieludzki ból zatargał moją świadomością. Potężne grzmoty rozpętały się koło mnie, morze płomieni zajaśniało mi w oczach. Brak tchu stał się straszliwym. Dawne bóle wzmogły się tak silnie, że rozpaczliwie począłem łowić powietrze, resztką ginącej świadomości wyrzucając ze siebie słowa:

— Bądź wola Twoja! Bądź wola Twoja!

Raptem nastała cisza. Nie czułem nic, zupełnie nic. Żadnych bólów, żadnych dreszczy. Nawiedziło mnie błogie ukojenie, jak po głębokim śnie.

Otworzyłem oczy i pierwsze spojrzenie moje padło na słodką twarzyczkę... Inusi. Stała w nogach trumny, w której leżałem, z rączkami złożonemi w żarliwej modlitwie.

Uśmiechy nasze spotkały się. Córus moja przestała się modlić, bez lęku podbiegła do mnie, pomogła mi usiąść i rzekła:

— Ja wiedziałam, że tatuś wstanie! Matka Boska mi to przyrzekła!...

* * *

Niedowiarki mówią, że byłem w letargu.

PŁOCK

ZAPOMNIANA STOLICA POLSKI



Wisła pod Płockiem posiada szerokie koryto i jest bardzo „rozlewna".

Była chwila w historji Polski bolesławowskiej, w której Płock mógł zostać na długie lata stolicą i wydrzeć ten zaszczyt grodowi Kraka. Przebywali najchętniej tutaj, zmarli i pochowani zostali dwaj udzielni władcy: Władysław Herman i Bolesław Krzywousty, i gdyby nie nieszczęsny testament bolesławowski, rozbijający państwo na dzielnice, stałby się może na długie lata stałą dezydencją królewską.

Mieszkańcy trzydziestokilko - tysięcznego Płocka pamiętają dobrze tę świetną tradycję. Niedawno dbały o nią Zarząd Miejski zwrócił się do Warszawy z prośbą o przywrócenie miastu starego herbu, pochodzącego z w. XIV-go, i dołączenie do niego nadanego miastu przez Marszałka Piłsudskiego krzyża Virtuti Militari.

Niedawne to czasy, kiedy Płock nie miał innej komunikacji, jak koryto Wisły, nawet dziś letnią porą nienadające się do stałej żeglugi. Obecnie posiada Płock aż dwie stacje kolejowe, jedną na prawym, drugą na lewym brzegu Wisły, obie w odległości kilku kilometrów od centrum. W bieżącym roku ma być ukończony potężny most kolejowy, który połączy swemi torami obie stacje. Zamknie się tak ogromne kolisko linij kolejowych, wybiegających na wschód i zachód z Warszawy i spotykających się na północy, w Płocku.



Wnętrze jednej z sal płockiego Muzeum Djecezjalnego. *Fot. Ks. A. Dmochowski.*

Od dwóch lat obiega miasto piosenka z tamtejszej szopki:

„Płock z powijaków
jak drugi Kraków
do nowych wstaje zórz".

Płock przypomina Kraków, ale nie dzisiejszy, tylko ten, z przed lat stu, znany nam z opisów Ambrożego Grabowskiego, miasto zabytków i zieleni. Jedna trzecia miasta, to sady i ogrody, uzupełnione umiejętnie przez tamtejsze ogrodnictwo miejskie urządzonemi kwietnikami. Wedle statystyki, na każdego mieszkańca wypada jedno drzewo owocowe. Na widok licznych nietkniętych „toporem" aleji kasztanowych, znajdujących się na stromych, zabytkowych zboczach wyniosłego wzgórza zamku — budzą się w Krakowianinie dawne wspomnienia. Podobne aleje kasztanowe spotykamy również na ulicach wewnątrz miasta. Drugiem ulubionem drzewem jest jarzębina, której czerwień z modną tu niezwykle pelargonją, daje w lecie charakterystyczne ognisto-rude plamy na tle tak bogatej zieloności miasta.

Płock nietylko zachował i kultywuje piękno swej szaty roślinnej, ale, co ważniejsza, umiał zachować harmonję placów i ulic starego miasta. Nie wszystkie domy, rzecz jasna, są piękne, ale żaden swym wyglądem nie odcina się rażącą barwą lub kształtem od całości. Zasługa to tutejszych majstrów, którzy jakoś instynktownie czuli obowiązującą wobec ubiegłych wieków odpowiedzialność. Nad estetyką miasta czuwa również gorliwie od kilku lat magistrat, zwła-

szcza obaj panowie prezydenci: S. Wasiak i Wiertnik. — Usunięto wszystkie niemal brzydkie szyldy, udzielono porad przy malowaniu nowych, przemalowano korzystnie niejedną fasadę. Obok starych dzielnic powstają nowe w typie willowo-ogrodowym przy szosie, prowadzącej do Warszawy. — Uzupełnia się sieć wodociągów i kanalizacji, rozbudowuje bardzo racjonalnie oświetlenie elektryczne alei i ulic. W ostatnich latach wykonano, bądź w najbliższym sezonie wykonane będzie szereg kostkowych, na podłożu cementowym, nawierzchni.

Zarząd miejski nietylko przygotowuje miasto do przyszłego rozwoju handlowo-przemysłowego, ale szuka też innych źródeł podniesienia dobrobytu miasta. — Jednem z nich jest turystyka, oparta o wysokie walory artystyczne i historyczne tutejszych zabytków, drugiem wykorzystanie świetnych tutejszych warunków klimatycznych i stworzenie poważnego ośrodka przyrodoleczniczego.

Zabytki tutejsze od z górą trzydziestu lat podlegają renowacji bądź przywróceniu do pierwotnego stanu. Prac tych dokonywano naogół dość szczęśliwie. Pomimo to, wiele cennych pamiątek czeka pod ziemią, czy w ukryciu nowszych przybudówek — na odkrywców. W Płocku spotka każdy turysta szereg najoryginalniejszych wzorów i obrazów. Wspaniały kompleks gmachu katedry, wież pozamkowych i szczątków średniowiecznych książęcego zamku, szczególne wywiera wrażenie, zwłaszcza wieczorem, w oświetleniu bardzo umiejętnie rozmieszczo-



Płock od strony Wisły, na pierwszym planie katedra.

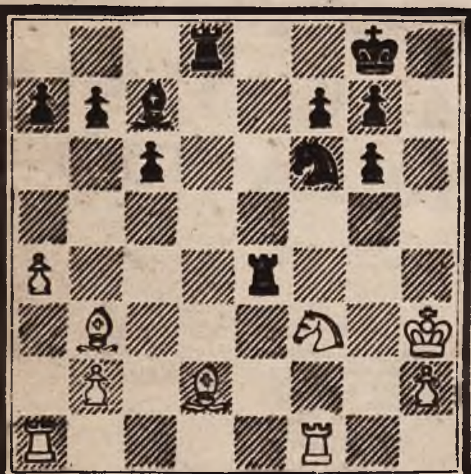
nych reflektorów, oświetlających wieczorem celniejsze zabytki. Najcharakterystyczniejszym zabytkiem miejscowym jest zegar z XV w. o złocistych wskazówkach i czarnej drewnianej tarczy, wybijający kwadranse i godziny. Wielka donośność jego głosu i małe odległości śródmieścia sprawiają, że jest on regulatorem życia większości tamtejszych mieszkańców. Kilka lat temu zepsuł się ów zegar. Wielu fachowych zegarmistrzów zjeżdżało, by go naprawić, ale bezskutecznie. — Zreperował go wreszcie niefachowiec — woźny magistracki (!). Ze starych części pozostała tylko ogólna struktura i śmigło-regulator, wycięte kunsztownie z metalu. Śmigło średniowieczne, prawzór dzisiejszych śmigieł samolotowych!

Drugi kompleks zabytkowy, to wspaniały pod względem urbanistycznym Rynek Kanoniczny, gdzie ustawiono ostatnio całkiem udatny, nowoczesny kiosk turystyczny. Przy Rynku mieszka w pałacu biskupim sędziwy arcypasterz ks. A. J. Niesiołowski, którego żelaznej energji zawdzięcza dzisiejsza diecezja bodaj najlepszą w Polsce opiekę nad zabytkami sztuki. Przy Rynku też stoją również dwa domy-muzea, należące do istniejącego z przerwą kilkudziesięcioletnią od roku 1820, Towarzystwa Naukowego w Płocku. Rynek Kanoniczny obchodzić ma w najbliższym czasie 700-lecie swego istnienia. Utworzono w tym celu osobny komitet pod przewodnictwem wielkiego miłośnika i znawcy Płocka, kanonika ks. Mąkowskiego.

Obok kultu zabytków, posiadają Płoczanie duże wyczucie chwili obecnej, obrotność i inicjatywę organizacyjną i zawodową. Oto w ostatnich dwu latach powstało tu przeszło siedemdziesiąt firm polskich. Czyste wnętrza wystawy i obsługa, odróżniają korzystnie te sklepy od dawniejszych. Płoczanie uzyskawszy nareszcie komunikację ze światem, dokładają wszelkich starań, by stać się godnymi wielkich historycznych tradycyj stołecznego miasta.

Dr. Władysław J. Dobrowolski.

BOHATERZY 64 PÓL



Oto jak przedstawiała się sytuacja na szachownicy podczas meczu o mistrzostwo świata między dr. Aljechinem a dr. Euwe, w chwili, gdy Euwe poddał się przeciwnikowi. Czarnemi figurami grał Aljechin.

Na prawo: Najdłuższą partję szachów rozegrali Amerykanin Frank J. Marschall i G. W. Ludecke, zaczynając ją w r. 1914, a kończąc po wojnie światowej, w czasie 24 lat.

Jak popularna na całym świecie gra w szachy jest rozrywką bardzo starą. Historja szachów wspomina, że już około 1000 lat temu wielki perski szachista Al-Adri znany był jako niepokonany podówczas mistrz tej szlachetnej gry, i co jest rzeczą charakterystyczną, ilość figur, biorących udział w grze była ta sama, co i obecnie tj. 32. — Jedynie co do miejsca króla i damy panuje niepewność, albowiem szachownice były wówczas jednobarwne, a nie jak obecnie dwubarwne (pola białe i czarne). — Persowie tej gry nauczyli się od Arabów i od nich przejęli też nomenklaturę figur, oznaczając króla słowem Fers, zaś damę słowem Wesir. — Jest ciekawem, że ruchy poszczególnych figur są wówczas niemal identyczne jak obecnie, a zaznaczyły się jedynie drobne różnice np. nie znano roszady, oraz pionek dochodzący do ostatniej linji nie mógł się zamienić w damę, tylko w lekką figurę. — Historja wspomina już wówczas o wzajemnych spotkaniach czołowych graczy perskich i arabskich ze zmiennym rezultatem prowadzonych, a opartych również o znaną dzisiaj formę walk zbiorowych, nie wspomina zaś o walkach indywidualnych o mistrzostwo. — Epoka średniowiecza przynosi duży rozkwit szachów, choć jeszcze nie są wtedy tak popularną rozrywką umysłową, jak dzisiaj. — Pojawiają się pierwsze prace teoretyczne np. autorów hiszpańskich Domiano i Lucena i roz-





poczyna się rozwój teorji szachowej, opartej już na nowoczesnych pomysłach. — Uznaje się już roszadę, zamianę pionka w damę, oraz dawniej nieznane posunięcie pionka o dwa pola i bicie „en passant". — Wszelkie te zmiany wyszły podówczas z Hiszpanji, gdzie wogóle z chwilą wypędzenia Maurów istnieje dążność zastąpienia ich kultury i zwyczajów nowemi pojęciami, odpowiadającemi zasadom chrystjanizmu. — Przełom wieków średnich i czasów nowoczesnych przynosi pierwsze podstawowe dzieło, podające zasady gry w szachy i dotychczasowe zdobycze teorji. — Autor ukrywa się pod pseudonimem „Ignotus" a dzieło wyszło w Getyndze p. t. „Historja szachód i zasady gry" — w r. 1570.

Odtąd szachy rozwijają się ogromnie i zainteresowanie niemi ogarnia szerokie sfery ludności od maluczkich począwszy a na możnych tego świata skończywszy. — Rozpoczynają się pierwsze turnieje szachowe o charakterze narodowym np. turniej ogólno-niemiecki w Lipsku.

Turnieje te odbywają się pod protektoratem głośnych podówczas osobistości i były już dotowane cennemi nagrodami. — Jest wogóle rzeczą powszechnie znaną, że szereg sławnych i wybitnych ludzi interesował się bardzo grą w szachy. — Napoleon był dobrym szachistą, tak samo jak głośny marszałek niemiecki Blücher. — Historja wspomina, że Gustaw Waza, król szwedzki, uprawiał namiętnie grę w szachy, której poświęcał cały swój wolny czas. — Bohater rewolucji francuskiej Robespierre nawet w więzieniu grywał z dozorcą więziennym w szachy. — Ale i szereg wielkich uczonych i artystów hołdował tej pięknej grze. — Głośny lekarz wiedeński Billroth był świetnym szachistą nawet na miarę międzynarodową, a najulubieńszym jego partnerem był sławny kompozytor — Brahms, z którym łączyła go zażyła zresztą przyjaźń. „Ale dopiero ostatnie lata przedwojenne i okres powojenny przynosi niebywały rozkwit szachów Powstają nowe pisma i perjodyki szachowe, urządza się wielkie mecze o charakterze międzynarodowym, oraz mecze dawniej nie znane np. korespondencyjne (nawet między reprezentacjami odległych kontynentów) i powstaje generacja mistrzów, toczących mię-



BLIŹNIĘTA

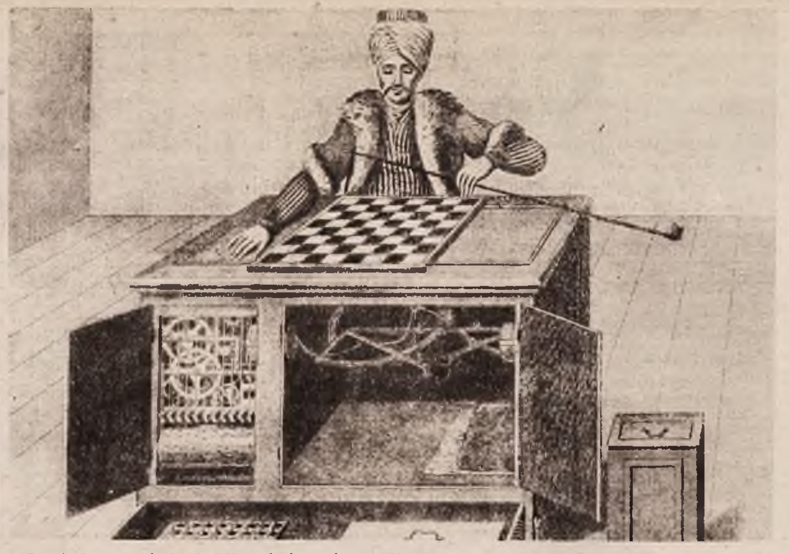
Siostry Brewster
i Barbara zad
wane przez „F



Bracia Mauch,
i Billy z wytworn
ner Brothers Pi



Fragment meczu rozegranego w ubiegłym roku w Amsterdamie, między dr. Aljechinem (po prawej) a dr. Euwe.



Podziw ludzi XVIII wieku budził automatyczny szachista, poruszany za pomocą skomplikowanej maszynerji.

dzy sobą bój o tytuł najlepszego szachisty świata.

W szranki walk o ten tytuł wkroczyli swego czasu najlepsi szachiści świata: Raoul Jose Capablanca, ur. w r. 1888, który zdobył tytuł mistrza świata po swem pamiętnem zwycięstwie nad Laskerem w r. 1921 na Hawannie. — Gra jego odznacza się przy całej znajomości techniki gry szachowej, błyskotliwemi i nieprzewidzianemi posunięciami, zdolnemi pokonać nawet gracza tej miary, co Lasker. — Lasker reprezentuje w swej grze typ ostrożnego i twardego gracza, ale przez to jest właśnie niebezpiecznym przeciwnikiem. — Tytuł mistrza świata zdobył w r. 1894 po wspaniałem zwycięstwie nad Steinitzem. — Capablance odebrał tytuł mistrza świata Dr. Aljechin, bohater ostatniego meczu o mistrzostwo świata.

Aljechin urodził się w r. 1892 w Moskwie, a przebiegiem jego dramatycznej walki z Dr. Euwe emocjonował się ostatnio cały świat szachowy również i w naszym kraju. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że życie szachowe w Polsce rozwija się bardzo intensywnie, a czołowi szachiści polscy cieszą się uznaniem na całym świecie, np. Rubinstein, Tartakower, z których zwłaszcza pierwszy uważany jest za jednego z najwybitniejszych szachistów świata i kto wie, czy gdyby nie choroba, nie stanąłby w szranki o najzaszczytniejszy tytuł — tytuł mistrza tej królewskiej gry.

Powracając do ostatniego meczu o mistrzostwo świata między Dr. Aljechinem a Dr. Euwe, należy przyznać, że urządzony był on i przygotowany wspaniale. — Widocznie przysłowiowa flegma opuściła Holendrów, zapanował nastrój gorączkowego wyczekiwania i gdy rozpoczęła się ta pamiętna walka, to organizatorzy mogli sobie powinszować sukcesu. — Obecność wybitnych szachistów o międzynarodowej sławie, zainteresowanie sfer rządowych, wszystko to było wynikiem ciężkiej pracy przygotowawczej Komitetu organizacyjnego turnieju.

Turniej odbywał się w ten sposób, że partje rozgrywano w pojedynczych miastach, co dawało turniejowi pewniejsze podstawy finansowe i budziło zainteresowania w wielu miastach, a nietylko w stolicy. — Obaj mistrzowie jeździli automobilem z miasta do miasta wraz ze swemi żonami, które zaprzyjaźniły się bardzo ze sobą — mimo bezkrwawej wojny mężów na szachownicy. Jak wiadomo, był to już drugi rewanżowy mecz między Dr. Aljechinem a Dr. Euwe. Pierwszy zakończył się mało oczekiwanem sensacyjnem zwycięstwem Dra Euwego, lecz warunki turnieju wymagały, by Dr. Euwe rozegrał zwycięsko drugą walkę z Dr. Aljechinem, zanim zostanie oficjalnie ogłoszony mistrzem świata. — I stał się cud! — Mecz rewanżowy wygrywa bowiem Dr. Aljechin i jest to pierwszy w historji szachów wypadek, że pokonany mistrz świata zdobywa ponownie najwyższą w świecie szachowym godność! Oczywiście jak na każdym meczu „kibice" dzielili się na dwie grupy: jedni, to zwolennicy Dra Aljechina, drudzy jego partnera. Płeć piękna wcale licznie odwiedzająca ten turniej, okazuje raczej sympatję nerwowemu, lecz przystojnemu Dr. Aljechinowi i wciąż poluje na jego autografy, przedkładając jej oraz lekki flirt z mistrzem nad uczone dysputy o rozegranych partjach. — Z uśmiechem i bez cienia zazdrości patrzy na to pani Aljechin, elegancka i szykowna paryżanka i widać w jej oczach dumę i błysk zadowolenia na widok powodzenia jej męża. Zazwyczaj mężowie cieszą się z sukcesów swych żon, tu jednak było odwrotnie. Płeć brzydka natomiast jest raczej za Dr. Euwem, sympatycznym grubaskiem o jasnem i pogodnem spojrzeniu. Zapewnie niemałą rolę odgrywa tu patrjotyzm lokalny i chęć ujrzenia rodaka na tronie szachowym. — Aljechin to jednak tytan szachowy — artysta z Bożej łaski z kapitalnemi pomysłami, człowiek, który może jak nikt drugi nie umie połączyć teoretycznej wiedzy z inwencją prawdziwego genjusza. Umysł to skomplikowany i twórczy (np. w dziedzinie otwarć partyj), którego pociągnięcia rozrzucone w pojedynczych partjach, stanowią często dla analityków i teoretyków szachowych materjał niełatwy do zrozumienia. To też słusznie porównał genjalny mistrz Capablanca partje Aljechina do orzecha ukrywającego pod szorstką powłoką słodką treść. Nie będzie więc przesadą twierdzenie, że wśród wszystkich mistrzów gry szachowej jest Aljechin zjawiskiem niezwykłem, a talent jego swym ogromem przytłacza konkurencyjne „gwiazdy". Dr. Euwe to znów antyteza Aljechina. O parę lat młodszy od niego, odznacza się niezwykłą ostrożnością w grze.

Całą teorję zwłaszcza w otwarciach, zna na pamięć, ale wybiera z niej to, co pewne i nie ulega dyskusji, okazując mało osobistej inwencji i krocząc po pewnych, lecz utartych ścieżkach. Może nerwowa atmosfera i poczucie odpowiedzialności hamowały rozwój indywidualnego zabarwienia partji, może niedyspozycja, na którą na początku turnieju uskarżał się, źle na niego podziałała — są to rzeczy niezbadane. W wielu partjach turnieju pokazał jednak „lwi pazur" i był równorzędnym partnerem Aljechina. Rzecz oczywista, że przy tak ważnym turnieju obok analizy partyj, kibice mieli dużo czasu na opowiadanie bardziej intymnych szczegółów z życia bohaterów spotkania. Pewnem jest, że Aljechin przygotowywał się do tego spotkania nader starannie, zarzucając dotychczasowy tryb życia. Trzeba było niezwykle silnej woli, by zmienić swe dotychczasowe upodobania i wyzwolić się z pęt złych nałogów. — Pod troskliwą opieką lekarzy Aljechin znalazł tę siłę woli. Owo ukochanie szachów, z jakiem tylko prawdziwy artysta z Bożej łaski miłuje swą sztukę, zrobiło go zupełnie innym, nowym człowiekiem. W czasie meczu nie palił i nie pił. Mięso jadał w ilościach niewielkich, zato dużo konsumował czekolady, owoców i śmietany. To też jak wykazuje wynik turnieju, jest on obecnie w szczytowej formie a gra jego stała się niebezpieczna dla przeciwników, bo uderza od strony najmniej spodziewanej. — „Aljechin redivivus" jest więc tłumnie oblegany przez reporterów i międzynarodową publiczność. Nerwowy, z sarkastycznym uśmiechem na ustach i zawsze cięty w odpowiedziach, a jednak przy bliższem poznaniu bardzo sympatyczny, często wymyka się z tego zgiełku i swym małym Fiatem udaje się wraz z żoną do jednego z nadmorskich kąpielisk na krótki parogodzinny wypoczynek. Aljechin jest przy tem jak każdy niemal Rosjanin bardzo przesądny i do gry siada zawsze w swym sławnym zielonym swetrze z wyhaftowanym kotem. Jak wiadomo, państwo Aljechinowie ubóstwiają swego kota — angorę i mistrz Aljechin mówi, że kot przynosi mu szczęście. I rzeczywiście, odkąd włożył ten sweter, wygrywa 3 partje pod rząd. Pono jeden z amerykańskich szachistów pół żartem, pół serjo zaofiarował mu 1500 dolarów za ten sweter, Aljechin jednak nie chce się rozstać ze swym talizmanem. Tak samo nie lubi on cyfry 13 i — rzeczywiście 13-tą partję turnieju przegrał. Po tej partji nabrał Dr. Euwe trochę otuchy do gry i oświadczył dziennikarzom, że nie traci nadziei wygranej. Nadzieja okazała się niestety dla niego zwodniczą. Zresztą reprezentuje on nader sympatyczny typ gracza; jest prawdziwym gentlemanem. W czasie gry często wstaje i spaceruje po sali a obdarzony miłym głosem tenorowym, nuci piosenki o treści wesołej lub smutnej. — Złośliwi twierdzą, że wybór piosenki zależy od sytuacji partji w danej chwili. — Przegraną bynajmniej się nie przejmuje i on był też pierwszym, który pogratulował Aljechinowi zwycięstwa. — Czy to było szczere, trudno wiedzieć, ale uczynione było w formie nader serdecznej, a zarazem taktownej, jak wogóle cały przebieg meczu nie wykazał ani jednego zgrzytu czy dysonansu. Obecnie udał się Aljechin na wypoczynek na Riwierę, — Dr. Euwe do pracy zawodowej: jest on profesorem matematyki w Amsterdamie. Mają się spotkać w ramach międzynarodowego turnieju w Austrji za kilka tygodni i obaj cieszą się już na to spotkanie.

Zwycięstwo Aljechina nad Dr. Euwe jest cennym triumfem ducha nad materją i z tego tytułu nawet nieszachistów interesować i — cieszyć powinno.

A. M.

W okresie Bożego Narodzenia obchodzą domy polskie szopkarze z tradycyjną szopką, a literaci i poeci nawiedzają sale widowiskowe ze swoją polityczną szopką.

W pięknej Tetmajerowskiej sali w tym roku wystąpili utalentowani zawodowi humoryści Tommy i Z. Grotowski z aktualnem szopkowem widowiskiem, zatytułowanem: „Przy drzwiach zamkniętych". Przez dwie godziny galopem biegną jurne powiedzonka, poganiane ostremi świstami satyry, rozpryskujące się na wszystkie strony świata iskrami szczerego humoru. Autorzy trzymają lejce w tej galopadzie humoru, wierzgającego, wesoło prychającego, radującego się nie tylko z bogatego materjału, jakie nastręcza współczesne życie, lecz i z wyjątkowej łaskawości cenzury, która swą rolę Heroda odegrała wyjątkowo wspaniałomyślnie, wpuszczając na scenę rozśpiewane kukiełki, przybiegłe wprost z życia na szopkową scenę i jak w życiu po naświetleniu blaskiem kinkietów wspadające do kosza, jak każe tajemnicza reżyserja politycznego życia.

Groteskowy korowód figur łątkowych rozpoczyna *Kiepura* pogwarką z słuchaczem. Jak to on musi w swem ciężkiem życiu wyłazić nieraz na auto i śpiewać, gdyż taka autoreklama potrzebna do kinematograficznego interesu.



Przy „Drzwiach Zamkniętych" — od lewej: prof. O. Bujwid, wydawca i red. naczelny Koncernu „IKC" M. Dąbrowski, prezydent miasta M. Kaplicki, K. H. Rostworowski.

»PRZY DRZWIACH ZAMKNIĘTYCH«

Radziwiłł z panną kochanką śpiewa sobie: „Książę pan jedzie do Drohobycza. Książę pan jedzie szlakiem złym. Tam jest Suchestow, co oczaruje Michasia portfel sexem swym". Rodziwiłł w swych przedślubnych refleksjach opowiada również, iż chrzest Polski rozpoczął się wprawdzie w r. 966, lecz jeszcze dotychczas się nie skończył.

Kaplicki twierdzi, iż wszyscy w Polsce jadą do Krakowa, albo „na Kraków". Słysząc to red. *Dąbrowski*, odpowiada: Co, jadą na Kraków? Nie pozwolę! Niech pan powie, panie prezydencie Fryczowi, aby nie grali więcej „Warszawianki", gdyż w Warszawie nie grali dotąd nigdy „Krakowianki".

Niania Sieroszewskiego śpiewa piosenkę „Lata płaszek po Chrzanowie i po Kasie Zaliczkowej, co przyleci Dziubą kole, potem sądzą go w Sokole".

Taternik zaś śpiewa: „Polak nie leniuch, już wie, co to Andy i na Grenlandji robi propagandę. I niech się dziwią panowie Delbosi pierwszą brygadę pieją Eskimosi. Staroegipskie radjo wykopuje, do Himalajów Polak już trenuje. Lecz nim na Everest przyjdzie polska krysa, już Polak zdobył górę Kirtiklisa".

Do nowoczesnych postaci szopki należy *Bubek*, śpiewający: „Kto mnie wołał, czego chciał, Bubek jestem, bom nie schwał. Ale takim trzeba być, by uczciwie w Polsce żyć". „A czy znasz ty bracie młody te drożdżowe metody, a czy znasz ty przyjacielu, w jakim celu i kartelu? Wzleć nad Polską miły bracie, poznasz cuda kalkulacji i kto płaci i kto naszem się bogaci. Wypłyń orłem, wyleć szprotem, tylko nie leć samolotem".

Następnie Bubek zachwala się, „iż ma stosunki w najwyższych aferach", a na zapytanie, czy wie coś ciekawego o wojewodzie krakowskim, odpowiada: „Owszem, wiem. O wojewodzie krakowskim zawsze się wie, że będzie nowy wojewoda!"

Charakterystyczną rozmowę prowadzi falangista z żydem. „Żydzie, Ghetto ławkowe się rodzi, więc gdzieindziej ci się usiąść (bis) usiąść teraz ci się godzi". Żyd: „Aj waj gewałt! Ten kij ma dwa końce, wasze będą wszystkie ławki, a nasze pieniądze"!

Wreszcie *Nowakowski* śpiewa: „O moja gałązko rozwijaj się. O moja gałązko rozwijaj się! Hofmokle grasują, wrogi już żerują, obetną cię. Pójdę do Hofmokla ugodzę się, szefem mej reklamy mianuje go".



Autorzy szopki: Zbigniew Grotowski i Tommy (Ludwik Tomanek).



Wykonawcy ról szopki przy próbie czytanej. Od lewej: pp. Marja Biliżanka, red. A. Cyprjan i Zbigniew Schmidt.



Kukiełki występujące w szopce: Od lewej: Stalin, gen. Franco, Żanetta Suchestow, ks. Michał Radziwiłł, conférencier w osobie redaktora Jana Stankiewicza.

Madagaskarczyk mówi: „Beniowski jestem, teraz każdy Beniek musi być Beniowski. Właśnie dla polskich arystokratów to rząd francuski dał strefę osiedleńczą w Monte Carlo, a dla nas to Madagaskar. Czy mam tam jechać, przecież tu mój pradziadek, dziadek i ojciec sprzedawali święte obrazki, to ja na Madagaskar jechać? Ja tu zostanę. My wam możemy zrobić ustępstwa. Dlaczego nie? Można wam dać po prawej stronie jeden stolik w Feniksie".

Oto próbki przedniego dowcipu i jakim zaleca się ta szopka, do której zgrabne figurynki wykonali Walewska, Stern i Stasiniewicz, a dekoracje Janusz Marja Brzeski.

Wykonanie wokalne szopki, dzięki udziałowi rutynowanych sił, jak: Adam Cyprjan, Zbigniew Schmidt, Marja Biliżanka i pianistka Lula Grotowska wzorowe. To też sala Tetmajerowska przepełniona jest co wieczór.

n.dd.

+ 38 C.

— 17 C.



Fontanna na Placu Parlamentu w Buenos Aires nie zamarza, choć to styczeń — bo miesiąc ten jest najgorętszym w kalendarzu Ameryki Połudn.



Polski las pod grubą kołdrą śniegu — to najlepszy przykład srożącej się w całej Europie zimy...
Fot. Dr. A. M. Wieczorek — Zakopane.















GDY PODCZAS ZIMY JEST LATO...

Przed kilkoma dniami wrócił mój przyjaciel z dłuższego tournée koncertowego po Ameryce Południowej. Już na drugi dzień po jego przyjeździe siedzieliśmy razem w towarzystwie kilku pań i panów, prowadząc ożywioną rozmowę na temat oryginalnych przejawów życia drugiej półkuli naszego globu. W pewnym momencie jedna z pań wyrwała się z następującem pytaniem:

— Ale właściwie dlaczego pan wyjechał stamtąd w pełni sezonu? Przecież nie przerywa się tournée w połowie drogi, usłanej sukcesami?

— Myli się pani — odpowiedział mój przyjaciel. — Sezon w Ameryce Płd. skończył się w pierwszych dniach października i dlatego przybyłem do Europy.

— Jakto? Więc tam się gra podczas lata?

— Nic podobnego! Teraz jest tam lato!

I tu pękła bomba. Okazało się, że nie tylko owa dama, ale i reszta towarzystwa zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że jeśli o Amerykę Płd. chodzi, kalendarz lubi nam — Europejczykom płatać figle. Podczas gdy bowiem u nas zima jest w pełni i sroży się nietylko w okolicach górskich, ale i w miastach i po wsiach — Ameryka Płd. przeżywa godowy czas lata, mimo, że jest to styczeń, najzimniejszy miesiąc naszego kalendarza.

Dalsza rozmowa potoczyła się na temat kontrastów, wynikających z powyższego, pozornego paradoksu, który określić można zdaniem: „Gdy podczas zimy jest lato". Panie pierwsze zainteresowały się karnawałem. Więc chyba odbywa się on w lipcu i sierpniu, bo wówczas jest tam zima? I pod tym względem odpowiedzi spowodowały u pytających zdumienie i rozczarowanie. Jakto? więc także w styczniu i w lutym? Otóż tak, ale z tą drobną różnicą, że tylko przez trzy dni w Brazylji, a przez siedem w Argentynie i to na przełomie stycznia i lutego.

Karnawał wśród tropikalnej flory, pod wyiskrzonem niebem nocy, z którego za dnia leją się niby strugi roztopionej lawy promienie gorejącego słońca, a powietrze nawet nocą tchnie żarem nieznośnym i obezwładnia ludzi i zwierzęta. Karnawał, który w Brazylji jest świętem ludodem (nie czytaj przypadkiem narodowem), zmienia ulice i place miast w jedną salę taneczną. Kto żyw rusza w tany i przez te trzy dni i trzy noce tańczy bez przerwy jak szalony. Wolno mu nawet wystąpić bez krawata i w rozpiętej koszuli, co w innym czasie surowo jest zakazane. Takiego roznegliżowanego pasażera nie wpuści do tramwaju żaden konduktor. Ale podczas trzech dni karnawału to niebezpieczeństwo nie istnieje. Ustaje bowiem cały ruch kołowy, a biura i sklepy są zamknięte. Żyje tylko ulica, która tańczy i tańczy w takt upojnego tanga i szalonej „samby".

Inne nieco oblicze ma karnawał w Argentynie. Tam trwa on dłużej niż w Brazylji, bo siedem dni i nocy. Nie jest świętem ludowem i jako okres zabaw obchodzony bywa więcej po europejsku. Ulica bierze w nim udział w bardziej wyszuka-

Dokończenie na str. 24-tej

ŚWIAT KRYSZTAŁÓW





Na lewo i poniżej: Wspaniałe w swej różnorodności motywy spotykamy w kryształach śniegu.

Nieraz w mroźny dzień zimowy, gdy wszystko pokryte jest śniegiem, podchodzimy do okna i rozkoszujemy się pięknym widokiem okiści śnieżnych, osiadłych na drzewach. Gdy tak przez dłuższą chwilę stoimy przed zimną szybą, nagle widzimy na niej jakieś cudowne utwory, rodzące się w naszych oczach. Powstają delikatne białe niteczki i sznureczki, łączące się w misterną siatkę, ułożoną fantastycznie. Tworzą się gałązki i wydłużone krystaliczne szkielety. To para z naszych ust w zetknięciu z zimną powierzchnią szyby zmieniła się w krystaliczny lód o tak fantastycznych kształtach. A bogactwo form i ich różnorodność niemała. Zależną jest ona od wielu warunków, a przedewszystkiem od ilości pary wodnej, od temperatury zimnego powietrza i od różnicy temperatur pomiędzy powietrzem zewnętrznem a wewnątrz mieszkania. Gałązki i szkielety krystalicznego lodu tworzą nieraz delikatną nawpół przeźroczystą powłokę, niestety jednak jest ona dosyć gruba.

Inną formą krystalicznego lodu to płatki śniegu, w których nieraz gołem okiem możemy dostrzec symetryczne sześcioboczne zarysy kryształów. Szron to także forma krystaliczna lodu. A nawet pokrywa lodowa na wodach stojących czy płynących nie jest niczem innem, jak krystalicznem skupieniem lodu.

Lód stanowi jeden z ważnych składników skorupy ziemskiej. Obszary pokryte lodem obejmują ponad 15 miljonów km², co stanowi około 3 procent powierzchni globu ziemskiego, a 10 procent powierzchni lądowej. Największe skupienia lodowe na południowej półkuli to Antarktyda o powierzchni znacznie większej od Europy, na północnej półkuli Grenlandja o powierzchni 2 miljonów km². Wysokość lądolodów przekracza nieraz 3000 metrów. W obszarach polarnych spotyka się również lód kopalny, pochodzący jeszcze z okresu lodowcowego z przed wielu tysięcy lat, w którym doskonale zachowały się zwłoki mamutów. W tych obszarach grunt do pewnej głębokości nieraz ponad 100 metrów, jest wiecznie przemarzły, a podczas pory letniej odmarza tylko warstwa powierzchniowa grubości kilkudziesięciu centymetrów. W dalszej głębokości powstaje rodzaj zlepieńca, gdzie spoiwem jest lód. Morza polarne obficie pokryte są krą, która może być niebezpieczną dla żeglugi a nieraz ją wprost uniemożliwić, jak świadczą o tem opisy wypraw polarnych.

Wreszcie w atmosferze na rozmaitych wysokościach zawieszony jest krystaliczny pył lodowy niewidzialny lub też zgęszczony w postaci mgieł lodowych i chmur, z których rodzą się opady śnieżne i gradowe.

W jakich warunkach powstaje lód i jakie są jego najważniejsze własności? Wszyscy wiemy, że lód to zamarznięta woda czyli ten najpospolitszy związek chemiczny, składający się z wodoru i tlenu, występujący w przyrodzie w trzech stanach skupienia: w gazowym jako para wodna, w ciekłym i wreszcie stałym jako lód. Pod ciśnieniem atmosferycznem w pewnej temperaturze przechodzi jeden stan skupienia w drugi. Właśnie te charakterystyczne temperatury stanowią orjentację, według której wykonujemy wszystkie pomiary temperatur. Temperatura 0 stopni — to temperatura zamarzania wody a równocześnie temperatura topnienia lodu. W tej temperaturze mogą istnieć obok siebie oba stany skupienia. Podobnie temperatura 100° C względnie 80° R jest punktem zwrotnym dla wody i pary wodnej.

Większość ciał pod wpływem temperatury zwiększa swą objętość. Nieco inaczej zachowuje się woda. Rozszerzanie się objętości pod wpływem podwyższonej temperatury występuje tylko od 4° C. Poniżej tej temperatury nie zmniejsza się objętość wody, jak możnaby się tego spodziewać, lecz zwiększa się aż do temperatury 0° C tj. do przejścia w lód. Wskutek tego na powierzchni wody o temperaturze zbliżonej do temperatury zamarzania unosi się warstwa najzimniejsza, tj. od temp. 4—0° C. Gdy temperatura najbliższego sąsiedztwa powierzchni wody obniżyła się już do temp. 0° C w pewnym momencie woda zaczyna się ścinać w lód, pokrywający coraz większą powierzchnię zbiornika wodnego, co jest połączone ze znacznym zwrostem objętości.

Lód tworzący się powoli w otwartych przestrzeniach na powierzchni wody krystalizuje się w postaci podobnej do kryształów śniegu, przyczem sześcioboczne kryształki układają się poziomo. W opisach podróży podbiegunowych znajdujemy opisy i ilustracje, przedstawiające pękanie wielkich mas lodowych na sześcioboczne słupy pionowe. Na jeziorach słodkowodnych tych obszarów spotykano lód, podzielony na sześciokątne płaszczyzny, stojące pionowo na powierzchni wody, zaznaczone pęcherzykami powietrza. Nagół jednak rzadko tylko można zaobserwować na powierzchni zamarzającego stawu czy kałuży wyraźne sześcioboczne kryształy lodu, częściej tworzą się różnorodne utwory pierzaste, nieregularnie rozszerzające się na coraz większe przestrzenie powierzchni wodnej.

Częściej natomiast dostępne są nam płatki śniegu, przybierające formy wyraźnych gwiazdek czy płatków sześciobocznych a wi-

doczne już bez użycia mikroskopu. U nas najczęściej śnieg pada w dosyć dużych o luźnych skupieniach kryształów, płatkach. Podczas silniejszych mrozów pada śnieg drobny w odrębnych kryształkach lub w ich skupieniach. Aby powstał śnieg płatkowy, powietrze musi zawierać dużą ilość pary wodnej, ponadto opad śnieżny musi być obfity, aby kryształki mogły się zetknąć ze sobą. Luźne skupienia powstają dzięki włoskowatości przylegających do nich kropelek wody, śnieg też musi być przynajmniej częściowo w stadjum topnienia. I rzeczywiście śnieg w płatkach pada zwykle w temperaturze niewiele odległej od 0 st. Płatki śniegu nie powstają odrazu, lecz kryształki śniegowe łączą się razem stopniowo w miarę spadania. Zaobserwowano to nieraz w czasie wzlotów powietrznych, stwierdzając zmniejszanie się wielkości płatków w miarę posuwania się w górę, przyczem w pewnej wysokości znajdowały się tylko mgły, złożone z maleńkich kryształków.

Kryształy śniegu, które wykazują olbrzymią różnorodność, już oddawna przyciągały uwagę człowieka. Rysunki tych kryształów znamy z czasów, kiedy nie znano jeszcze mikroskopów, ani nie istniała nauka krystolografji. Pierwsze rysunki kryształów śniegu podał w połowie XVI-go wieku arcybiskup z Upsali, Olaus Magnus. Pierwsza praca naukowa z dziedziny krytalografji dotyczy właśnie kryształów śniegu. Jest to praca genjalnego astronoma Jana Keplera, jednego z twórców nowoczesnej astronomji. W r. 1611 ukazała się w Frankfurcie jego rozprawa o formach śniegu, w której opisuje on kryształy śniegu i zastanawia się nad ich symetrją. Praca ta rozpoczęła długi szereg opracowań wielu autorów, którzy zajmowali się kryształami śniegu i dawali ich opisy.

Różnorodność form kryształów śniegowych jest olbrzymia. Autor wielkiej monografji „Historja naturalna lodu“ Antoni Dobrowolski podaje, że wśród kilkuset widzianych pod mikroskopem blaszek śniegu i większej jeszcze ilości znanych mu mikrofotografij z całego świata, nie znalazł dwu jednakich. Jeżeli bowiem znajdzie się dwie lub więcej blaszek o podobnych konturach zewnętrznych, wtedy rysunki wewnętrzne są zawsze odmienne, a jeżeli nawet podobne są pewne szczegóły fizjognomji kryształów blaszkowych, a więc charakter konturu, kształt blaszek i sześcioboków wewnętrznych, to powtórzenie tej samej kombinacji tych samych szczegółów elementarnych



Kwiaty lodowe na powierzchni górskiego jeziora.

nie trafiło się dotąd nigdy. Czasami opad śniegu wykazuje uderzającą jednostajność w postaciach swoich składników t. j. konturze blaszek i ozdobach wewnętrznych, w szczegółach jednak zawsze widać wyraźne różnice poszczególnych blaszek.

pewne cechy wspólne. Charakterystycznym zarysem wszystkich kryształów śniegu czy lodu w innej postaci, jest zarys sześcioboczny, co pozostaje w związku z przynależnością do heksagonalnego układu krystalograficznego. Posiadają one potrójną oś symetrji, podobnie jak kryształy znanego minerału turmalinu. Niemal stałemi formami są oba słupy trójbarwne t. zw. słupy trygonalne, które razem dają właśnie zarys sześcioboczny, oraz ściana podstawowa. — Najczęstszym normalnym typem kryształów lodowych jest typ blaszkowy, podczas gdy słupki i igiełki występują znacznie rzadziej.

Mróz na szybach stanowi rodzaj odmiany szronu t. j. lodu atmosferycznego, powstałego z pary wodnej lub kropelek, który rośnie na twardem podłożu. Posiada on również budowę krystaliczną i wykazuje jeszcze większą różnorodność, aniżeli kryształy śniegowe, które naogół mogą swobodnie się rozrastać w różnych kierunkach. W dużej mierze zależy wygląd szronu od podłoża, na którem rozwija się: innym będzie na drewnie, innym na glebie, innym wreszcie na metalach czy szkle, odmiennie wygląda szron na powierzchni gładkiej, inaczej znowu na szorstkiej czy tylko zakurzonej. Zależny on także jest od tego, czy rośnie w miejscu zamkniętem czy otwartem, czy w powietrzu spokojnem czy na wietrze.

Blaszki szronu wykazują wszystkie charakterystyczne cechy blaszek śniegowych: będą tu występowały rozmaite gwiazdy sześcioboczne, przeważnie jednak są to utwory pierzasto-szkieletowe o niezmiernie bogatych odmianach.

Wiemy z życia codziennego, że mróz na szybach tworzy się przedewszystkiem w mieszkaniach dobrze opalonych. Występuje on jednak także i w mieszkaniach nieopalanych — gdzie tworzy się bezpośrednio z pary wodnej powietrza.

Szczególną odmianę lodu krystalicznego stanowi lód, powstający w wodach płynących o silnym nurcie. Gdy lód na powierzchni wody spokojnej stanowi agregat kryształów, których główna oś symetrji jest pionowa t. j. prostopadle ułożona do płaszczyzny powierzchniowej, inaczej rzecz ta przedstawia się w wodzie płynącej. Wskutek silnego ruchu, wody te oziębiają się bardzo szybko w całej swej masie, przyczem górne warstwy zimniejsze ustawicznie mieszają się z głębszemi, które są cieplejsze. Zwykle zamarzanie nie następuje w temperaturze 0 st., lecz w nieco niższej: następuje przechłodzenie wody. Przy dalszem oziębianiu następuje zamarzanie nie powierzchni wody, lecz odrazu całej masy wodnej. Powstają igiełkowate kryształki lodu, zbijające się w większe masy gąbczaste, które coraz gęściej pokrywają powierzchnię rzeki. Ten rodzaj lodu rzecznego nazywany jest przez naszych rybaków „sryżem“. Na dużych rzekach Kanady np. na rzece św. Wawrzyńca, „sryż“ wyrządza nieraz olbrzymie szkody, stając się prawdziwą klęską elementarną. Gdy bowiem spływający z górnego biegu „sryż“ dopłynie do tej części rzeki, która już jest pokryta lodem, wielkie masy niesionego lodu zostają wtłoczone pod powłokę lodową, zatykając w ten sposób koryto rzeki nieraz aż do dna. W rezultacie powoduje to spiętrzenie wody i groźne wylewy.

Największą zagadkę przez długie lata stanowił lód denny, tworzący się nieraz na dnie wód stojących lub płynących. Liczne obserwacje i badania wyjaśniły, że lód taki powstaje dzięki promieniowaniu dna przez wodę w przestrzeń, a szczególnie korzystne warunki dla jego powstawania stanowią bezchmurne noce. Warunki powstawania lodu dennego podobne są do warunków tworzenia się szronu, również i struktura wewnętrzna takiego lodu o pięknych koronkowo-pierzastych formach przypomina nieraz jego wykształcenie.

Dr. K. M.



Oto różne wzory, jakby skomponowane przez artystę, które spotykamy w kwiatach lodowych na szybach.

FELIKS DANGEL

PRZEDSTAWIENIE AMATORSKIE

Do roku w okresie karnawałowym, zaraz po Trzech Królach, szykowaliśmy się do przedstawień i pantonimy. Czasu było wiele, a roboty mało, długie więc wieczory upływały nam na debatach teatralnych, w dobroczynnym promieniu klosza naftowej lampy. Repertuar znakomicie był urozmaicony i skala twórczości dramatycznej ogromna, bo od „Opętanego Błażka“ aż po „Warszawiankę“, utwór podówczas jeszcze „bardzo zakazany“. Bibljotekę dzieł już znanych i granych uzupełniał zawsze Pan Serafin.



Aż sięgnął po miecz, co mu zwisał u pasa...

Poniżej: — Kani dawaj, ale duchom.



Poczciwina nauczyciel domowy, nieszczęsna ofiara swych wychowanków i chlebodawców, posiadał ogromną inwencję twórczą i na całe trzy powiaty zasłynął jako: autor, aktor i reżyser dramatyczny.

Tego też roku zabłysnął dziełem niebada. Co prawda to tytuł był mniej oryginalny, bo sztuka nazywała się „Obrona Częstochowy“ ale w prologu wyraźnie powiedziane było, że nie ma nic wspólnego z istniejącym już oddawna utworem i nie stanowi wolnej przeróbki z „Potopu“ pióra „niejakiego pana Henryka Sienkiewicza“.

O, to był utwór wspaniały! Do popularnych postaci ks. Kordeckiego i bohaterskich obrońców, jak i łupieżczych najeźdźców, autor dodał: cyniczną postać króla Karola Gustawa, „apoteozę chwały“ (postać stworzona dla panny Anusi) i „grozę wojny“, którą odtwarzać miała moja madame. I tak jak co roku, duży salon przerobiono na widownię. Ze świrona sprowadzono podjum zeszłoroczne, z całego domu zmobilizwano portjery i zaczęły się próby czytane, mówione i kostjumowe. Co dnia też zjeżdżali się artyści z całego sąsiedztwa (dalsi zamieszkali na stałe aż do premjery), a Pan Serafin przeradzał się kolejno w inspicjenta, dekoratora i nauczyciela dykcji.

A kostjumy?! Czyż posiadał takie kiedykolwiek teatr narodowy, albo rekwizytornia teatrów krakowskich? Nigdy! Zużyliśmy wszystkie stare kapelusze damskie z dwu powiatów, wszystkie strusie pióra, a z Siemiatycz przysłano nawet zbroicę husarską... Puklerz i karwasze. Szable były w domu, a efekty oblężenia miał wytwarzać Herasym, gajowy, paląc pod oknami salonu ze swej kapiszonówki.

Sprawa utknęła tylko przy rozdawaniu ról. Ja pogodziłem się odrazu z rolą „bohaterskiego pacholęcia“, panna Anusia entuzjastycznie przyjęła postać „Glorji Narodowej“, a tylko madame nie chciała być „Głodem, Zarazą i Śmiercią“, oraz stanowczo się wymawiał pan Antoni z Dusiacza roli króla Wandalów. Wszyscy chcieli być ojcem Kordeckim i towarzyszami pancernymi, ale wreszcie przekonano jakoś pana Antoniego i zgodził się.

Bo jakżeż zresztą piękna była ta rola! Bezwzględny autor, wbrew twierdzeniom dziejopisów, posyła szwedzkiego monarchę pod mury Jasnogórskie, tam rozkochuje go w polskiem dziewczątku z dworu i z imieniem jej na ustach, każe mu ginąć od kuli obrońców klasztoru. Po krótkim namyśle, panicz dusiacki rolę przyjął, gdyż bądź co bądź odpowiadała ona i jemu samemu. Dziewczęciem przecież i amantką była panna Michasia Zaleska.

O, wiedziałem o tem dobrze, a kochając się w niej skrycie (o 12 lat starszej) miałem pretensję do natury, która z tak poważnym opóźnieniem przyczyniła się do powstania mego i demonów zemsty wzywałem przeciw ko „najeźdźcy“.

Aż oto zaczęły się próby generalne. Z kostjumami i z uwzględnieniem sytuacji.

Przedstawienie zapowiadało się najwspanialej, bo i pan Antoni jakoś przemógł tremę i rolę cytował jak z płatka. W bohaterskiej jednak tyradzie i przydługim monologu przeszkadzał mu kostjum. Zbroica husarska, którą nosił na sobie, kowana była widocznie na mężniejsze ciało, bo dławiąc boleśnie ramiona sprawiała i ten kłopot, że obsuwała gwałtownie resztki garderoby monarszej.

— Nie trzymajże pan rąk na żołądku gdy mówisz, bo śmieszno wyglądasz.

— Ale inaczej nie moga... no miecz, z szaty spływa.

— To podnieś je pan szelkoma.

I na tem stanęło. Nowoczesny szczegół garderobiany dopomógł zbroicy i król rolę swą wypowiadał z patosem i gestem dramatycznym.

I wtedy właśnie zrodziła się w mem sercu jędza zemsty. Przeciąłem szelki przez samem przedstawieniem tak, że tego nie zauważył.

Pierwsza część spektaklu przeszła wspaniałe. Wprawdzie już z samego początku zasnęła w pierwszym rzędzie usadowiona, staruszka szambelanowa Szumbowiczowa, ale ponieważ chrapała na każdem przedstawieniu, więc nikt na nią specjalnej uwagi nie zwracał i wszyscy byli przejęci grą.

Pojawienie się na murze naszego praktykanta rolnego, z brodą O. Kordeckiego wywołało entuzjazm. Brawa podziałały na aktorów, a nawet madame jako „Klęska Wojny“ otrzymała aplauz. Sam pan Słupść z trzeciego orzędu krzeseł zawołał:

— Istna cholera, jak Pana Boga kocham!

Ja zapomniałem początku roli, ale coś dołgałem i poszło.

Ale oto zbliża się kulminacyjny punkt przedstawienia. Za oknami palnął dwa razy z dubeltówki Herasim, zapowiadając oblężenie klasztoru i na scenę wkracza Karolus Gustavus.

Brawa! Brawa!

Kordecki z rycerstwem spogląda z za muru, ja udiekłem w drugi koniec domu, a ten zaczyna:

— „Przeniewiercy! Czy wiecie co to zna czy odmówić hołdu Królowi z za dalekiego morza!? Mnie, Karolowi, o którym mówi historja jako o największym wojowniku! Ha! Oddajcie mi złoto i to oto dziewczę, które za murami tego klasztoru więzicie, a obdarzę was życiem i łaską. Oto mój manifest do ludu.“

Tu wstrząsnął mieczem i zwojem dokumentów.

Już z początku przemówienia, rozległy się na sali dyskretne sykania, pan Antoni jednak biorąc je za narodowe manifestacje, z coraz to większym zapałem mówił. W pewnej chwili zauważył też, że Wielebny Ksiądz Kordecki stroi doń zza murów obronnych jakieś porozumiewawcze grymasy, co mało przystało obrońcy fortecy, że wreszcie jeden z panów polskich (weterynarz z miasteczka) chrząka wyraźnie ku niemu i mieczem go trąca w łokieć zza bastjonu.

Ale upojony rolą mówił dalej.

Aż sięgnął po miecz, co mu zwisał u pasa i oniemiał.

W czasie monologu rapcie z mieczem i ta część garderoby, na której zazwyczaj zwisają, w przeraźliwy sposób ulegając sile ciążenia ku ziemi osunęły mu się niżej kolan.

Na widowni ktoś zawołał:

— To świństwo!

Któraś z pań porwała swoje dzieci i demonstracyjnie suwając krzesłami, opuściła salę, a tylko Słupść śmiał się na całe gardło... bił brawo i szpetnie dogadywał.

Zapuszczono kurtynę, która do połowy tylko opadła, demonstrując w dalszym ciągu biel szat monarszych, które mocowały się z deliami, togą i kontuszami.

Pan Antoni oszalał! Roztrącił przytrzymujących go współaktorów i pędem pobiegł ku stajni, w której dyżurował Franciszek.

Widok króla Gotów, Wandalów i Finów w srebrzystym kolecie i peruce, z wielkimi ostrogami u lakierowanych półbucików, bez reszty jednak garderoby, zamienił furmana w słup soli.

— Kani dawaj, ale duchom!

— Tfy! Larwa praklata, a ciabie co do pańskich kaniej?

— Pana Dusiackago nie poczuł!?

— O batieńki!

I pojechał.

Szambelanową zbudzono już wtedy, gdy wszystko ucichło.

— Wie dobrodziejka szambelanowa, Antosiowi z Dusiacza spodnie na nic opadły.

— Czyż nie mógł je powstrzymać... Taki czerstwy mężczyzna?

— Nie mógł, bo w jednym ręku miał miecz, a w drugim manifest do ludu.

— A cóż on z pałaszem i w takim dezabilu będąc, chciał chłopom opowiadać?

— Wzywał ich do zburzenia Częstochowy.

— Panie Boże Jedyny! Oszalał!?

Babulka bowiem całe dwa akty przespawszy nie wiedziała o co chodzi.

ZIMOWY WIECZÓR W METROPOLJI
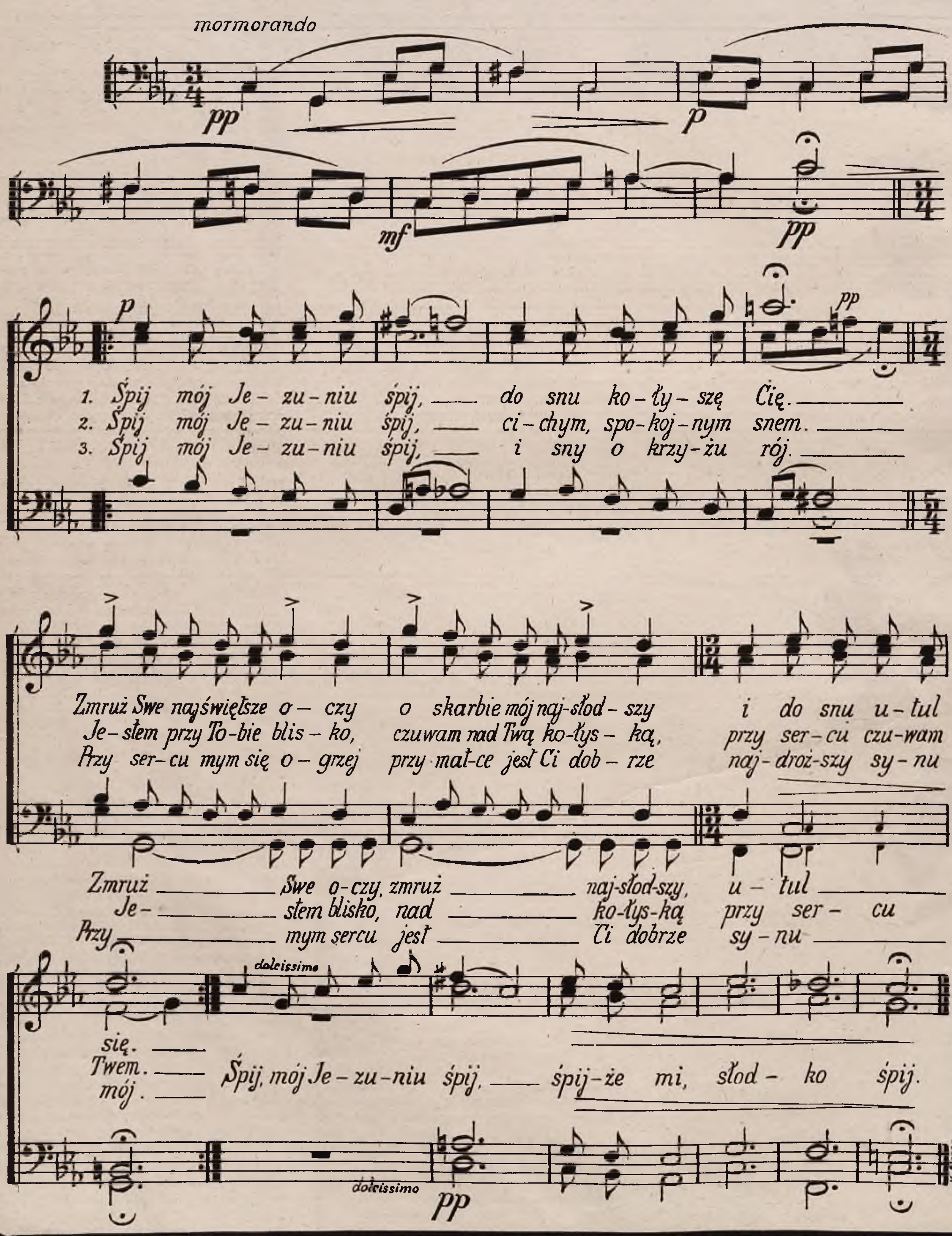


KOŁYSANKA

KOLENDA NA CHÓR MĘSKI

Słowa:
O. M. KOLBUSZOWSKI

Muzyka:
BOLESŁAW WALLEK-WALEWSKI



NA ZALNEM

ZOFJA WIŚNIEWSKA

N O W E L A

— Nie wierzę.

— Twoja rzecz wierzyć lub nie. Powtarzam to, co słyszałem od wiarogodnego świadka.

— Kiedyż to niemożliwe!

— Zbyt straszne?...

— Nie zbyt straszne, tylko poprostu niemożliwe.

Brandys wstał i spojrzał w stronę stołu. Na chwilę wzrok jego przykuła jaśniejąca w mglistym świetle księżyca biała szczerba na zielonawej popielniczy. Zaciągnął się jeszcze dwa razy ostrożnie i rzucił niedopałek. Potem zaczął się przechadzać zwolna po altanie.

Duszna parność przygniatała sobą ludzi, psy leżące u wejścia i cały sad. Księżyc coraz słabiej majaczył w szarawomlecznej śreżodze.

Przechadzający się zdjął kurtkę i w tej chwili poczuł lekką, chłodnawą wilgoć na plecach i pod ramionami.

Z cienistego kąta rozbrzmiały z pewnem wahaniem słowa:

— Możnaby się o tem łatwo przekonać.

Brandys rzucił szybko:

— I ja tak myślę. Chcesz? Pojedziemy dziś jeszcze.

Wojno czekał z odpowiedzią; jak na złość uprzytomnił sobie w tej chwili, że dziś miała minąć dopiero czwarta noc od czasu, gdy podbił swą młodą gospodynię, zgodzoną już blisko od roku, ale opierającą się mu dziwnie długo. Nadomiar jakiś zabłąkany bezszelestny komar uciął go właśnie między podbródek a szyję. Wściekłe swędzenie i pierzchające wizje rozkosznej nocy z miejsca wysadziły go z siodła.

— Zgaduję — rzekł Brandys z ledwie dostrzegalnym w półmroku uśmiechem — trzyma cię Janeczka... Innych powodów oczywiście ani przypuszczam.

Wojno zdecydował się prędko.

— Dobrze! Jedziemy.

— Zrobione. Więc słuchaj: w tej chwili jest dziewiąta. Czekam cię na pół godziny przed północą. Konie będą czekały, a twoje zostaną u nas.

— Zgoda.

— A teraz uciekam, byś miał jaknajwięcej czasu na... różne rzeczy.

I Brandys z całej siły dwudziestosiedmioletnich piersi huknął w przyćmiony sad: — Tomasz zajeżdżaj!...

Jeszcze echo odbite od stodół nie zdążyło zacichnąć, kiedy ostry turkot kół zawiadomił pana, że rozkaz został wykonany.

— — — — — — — —

Równo w dwie godziny po wyjeździe Brandysa lekki wolant toczył się tą samą drogą. Wojno, rozparty niedbale i trzymając oburącz lufę wystającej z pomiędzy kolan flinty, niewesoło pogwizdywał jakąś wesołą melodję.

Noc lekko zmierzchła. Księżyc ukrył się zupełnie poza mglistym, przeświecającym jak alabaster oparem. Srebrzyście i szaro majaczyły mijane krzaki, drzewa, pagórki, płoty... Dalekie naszczekiwanie psów ledwie zakłócało ciszę...

Wojno pół myślał, pół marzył.

Fatalnie się składał dzisiejszy dzień; niedarmo to środa i niedarmo trzynasty. Z samego rana Józef w bałwański sposób najechał ciężko naładowanym wozem młode, niedawno posadzone jabłonki i połamał sześć najpiękniejszych sztuk. Koło południa zakuto jednego z fornalskich wałachów; musi postać z dobry tydzień. Wreszcie na sam obiad przyniesiono mi z poczty całkiem idjotyczny list od pani Zofji i jakiś nakaz płatniczy. A później ten — ten Brandys. I niedokończone sam na sam z Janeczką. Co za giez ukąsił dziewczynę? Zdawało się, że zachody trwające od sześciu miesięcy znów biorą w łeb...

Jakiś spóźniony wielki chrząszcz z brzękiem i chrzęstem śmignął z prawa na lewo tuż przed twarzą jadącego. Wojno ocknął się i spojrzał przed siebie. Dojeżdżali do Zarębów, dzierżawionych przez Brandysa. W lekkiej pomroce widać już było rozkwitłe rzędy niezliczonych wisien, słynących na kilkanaście mil wokoło. Wnet pochłonęły podróżnych gęste ciemności kasztanowej alei.

Nie upłynęła nawet minuta od chwili wjazdu w mrok, gdy lewa klacz parsknęła i całem ciałem rzuciła się w bok. Obaj jadący o mało nie wypadli z powozu.

— Kto djabeł? — odezwał się pierwszy Wojno.

— Musi być pan zarembski idą — odpowiedziano mu z kozła.

Jakoż w mroku na wysokości twarzy ludzkiej zajaśniały czerwonem światłem oba policzki i lekko wypukłe oczy Brandysa.

— Cóż ty mi konie straszysz na równej drodze!? — krzyknął niezbyt zachwycony Wojno.

Brandys wyjął papierosa z ust, podszedł milcząco do zatrzymanego wolanta, spojrzał bez słowa na przyjaciela i siadł obok niego.

Lekkie mrowie przebiegło ni stąd ni zowąd po plecach Wojny i spłynęło wzdłuż krzyża.

— Do djabła! — Oczy Brandysa nie wróżyły nic dobrego. Najzwyklejszy strach patrzał przez nie w sposób tak szczery, że aż nieprzyzwoity.

— Myślałem — odezwał się niespodziewanie głośno Wojno — że ja mam zajechać do ciebie do domu i stamtąd pojedziemy dalej twoimi końmi.

— Tak będzie lepiej — odparł sucho Brandys.

— Dobra. Wszystko mi jedna — i, dotknąwszy lekko pleców furmana, krzyknął: — Antoni, pojedziecie na Zalne.

Woźnica, który już zdążył był popędzić konie w stronę zarębskiego folwarku, zatrzymał je nagle i odwróciwszy się wtył, zdjął czapkę z głowy.

— Na Zalne, proszę jaśnie pana? O tej godzinie?

Wojnę uderzyło po raz pierwszy w życiu niezwykłe podobieństwo twarzy jego furmana do twarzy Brandysa; przedewszystkiem te same, nad miarę wielkie i nad miarę czarne oczy. — I znów lekkie mrowie przebiegło mu po plecach. Odezwał się jednak z zupełnym spokojem:

— Dureń z was, wyjedziecie na same Zalne; tam my zejdziemy i będziemy stać na pagórku dopóty, dopóki nie odjedziecie ku zarębskiemu kościołowi. Pod kościołem już się wam nic nie stanie.

Konie ruszyły leniwym kłusem. W kwadrans wolant wtoczył się na Zalne i obaj panowie wysiedli, a odczekawszy, aż furman zawrócił i odjechał tak daleko, że go zakryły rosnące przed kościołem, ledwo widne dla nich w mroku lipy, odeszli kilkadziesiąt kroków w bok, gdzie wśród pustki wznosił się niewielki, jeszcze świeży nasyp.

— Najlepiej będzie, jeżeli mu usiądziemy na głowie — wykrzyknął Wojno. Ale w tej samej chwili ogarnął go niesmak; poczuł, że sileniem się na dowcip, maskuje najzwyklejszy lęk. Jednak nie dał jeszcze za wygraną i dorzucił.

— Nie, tak będzie źle, mógłby nas ugryźć, siadajmy lepiej w nogach. Musimy przytem obrócić się plecami do siebie w ten sposób będziemy zabezpieczeni ze wszystkich stron.

— Jak chcesz, dla mnie to obojętne.

Brandys rozpiął kurtkę, zdjął znajdujący się pod nią pas z przytroczonym doń kaukaskim kindżałem i zapiął go na chwilę wierzchu ubrania. Poczem wyjął na chwilę broń, by sprawdzić, czy lekko chodzi. Mdły blask ostrza zwrócił uwagę Wojny i w tem samem mgnieniu, gdy je ujrzał przed sobą, przykry, prawie bolesny, choć lekki ucisk osiadł mu w głębi piersi, w pobliżu serca, nie opuszczając go już odtąd.

Obaj przyjaciele złamali dubeltówki i nabili je śrutami.

— Jest za kwadrans dwunasta — obwieścił cicho Brandys — siadajmy i nie gadać.

Mijały długie chwile... Ciepło, przenikające od pleców przyjaciela w głąb ciała Wojny, zaczęło lekko słabnąć. Najwidoczniej ziąb mocny zbliżał się szybkiemi kroki. Dziwne pomieszanie lęku i męskiej zwierzęcej wściekłości rozpalało się w mózgu Wojny. Myślał:

— Co za bzdury, że dałem się w to wszystko wciągnąć. Istny kretyn ze mnie, a ten bałwan Brandys jeszcze większy dureń!

Ale — jakiś cichy, dziwny, zdawałoby się zdradziecki szelest rychło przerwał to jego mędrkowanie. Serce stanęło mu na mgnienie oka, by w sekundę później zalać go falą ciepłej krwi. I jeszcze nie przeminęła ta fala, gdy z daleka, jakby zza głuchej ściany doszło jego uszu wyraźne bicie zegara. Teraz już serce zaciskało się raz po raz bolesnym skurczem i raz po raz wysyłało z siebie fale dziwnego niepokoju. Ohydna wizja, wywołana wieczornem opowiadaniem Brandysa, stała tak żywo przed jego oczyma, że ledwie mógł powstrzymać się od krzyku: ów półchłop, pół-mieszczanin, przybyły niewiadomo skąd, a który tu w tem miejscu padł kilka dni temu z własnej ręki, by później ukazywać się ludziom z szeroko rozciętą gardzielą, z odwaloną w tył głową i z owym mrożącym jakoby krew w żyłach charkotem czy jękiem...

Myśl Wojny pracowała gorączkowo. Wszystkie perswazje, wszystkie argumenty, mówiące przeciw istnieniu duchów przeżuwał starannie i pracowicie. Ale serce prawie odmawiało mu posłuszeństwa, a od pleców, karku i od tyłu czaszki szedł śmiertelny mróz, przenikający coraz głębiej i głębiej. Zdobywając się niemal na ostatni wysiłek woli, szepnął ku towarzyszowi:

— Janek, boisz się?

— Ja nie mam się czego bać — odparł zagadnięty niesamowitym głosem — to ty się bój.

I znów mijały chwile. Plecy Brandysa zaczęły niewymownie ciążyć Wojnie. Wnet później lekkie sapanie dało czuwającemu znać, że jego przyjaciel zasypiał.

W tym samym momencie pamięć wskrzesiła przed Wojną dawno miniony obraz. Oto lat temu dziesięć, słucha w Lipsku odczytu profesora Driescha. I słyszy wyraźnie, jak ten uczony, profesor filozofji lipskiego uniwersytetu, głosi bez żadnego wahania możliwość istnienia jakowychś zjaw, ukazujących się w określonych miejscach, siejących wśród ludzi przerażenie. Wnet za tem wspomnieniem, wszystkie przeczytane na podobny temat książki ożyły w nim z całą jaskrawością. Serce przestało bić zupełnie. Ztyłu posłyszał lekki świst śpiącego, zmieniający się w jękliwy charkot. Dotkliwy dreszcz wstrząsnął nagle jego ciałem i zimny pot zrosił je w mgnieniu oka od stóp do głów. Charkot, rzężenie i jakby bulgotanie płynącej cieczy rozdzierały ciszę. Wojno wykrzyknął raz jeszcze imię towarzysza, poczem skoczył na równe nogi i spojrzał wtył... Przed nim na miejscu, gdzie siedział Brandys, stało znajome widmo: ręce wyciągnięte, głowa odrzucona wtył,

Wojno chciał krzyknąć, ale głos nie dobywał się z piersi, jak podczas koszmarnych snów. Chciał uciec, ale nogi jego były wbite w ziemię niby słupy. Czuł, jak wszystkie włosy zjeżyły mu się na głowie i jak przerażający, obmierzły ucisk zabiera mu życie z piersi.

Padłby zapewne na ziemię, gdyby do jego porażonej, zamierającej świadomości nie doszedł turkot nadjeżdżającego pojazdu. Po chwili Brandys żywy i wesół wbiegł na wzgórze i podszedł do przyjaciela.

— Na miły Bóg, cóż ty tu robisz sam jeden? Czekałem na ciebie do północy i gdybym nie zauważył koni stojących pod kościołem, byłbym machnął ręką na wszystko... Ale, bój się Boga, Jędrek, jak ty wyglądasz!! Oprzytomnij no chłopie!... Sądząc z tego, co gadał twój furman, miałeś coprawda ładną historję; ten djabeł nieźle musiał mnie odstawić. — Do djaska, bądźże jednak mężczyzną!

Widząc, że Wojno mlaska tylko dziwacznie wargami, a zęby szczękają mu bezwolnie, zdjął z siebie burkę, zarzucił na przyjaciela i przemocą zaprowadził do powozu.

— No — mruknął — będę chyba musiał w ciebie wpompować z pół litra koniaku, zanim powrócisz do przytomności.

O Królu-Bohaterze.

Zmarły tragicznie w 1934 roku Albert I zyskał sobie przydomek Króla-Żołnierza. Było to wynikiem jego bohaterskiej postawy w czasie Wielkiej Wojny. Gdyby jednak wojna nie miała miejsca, potomność nazwałaby króla Alberta z całą pewnością Królem-Demokratą.

Zagranicą mało się zna z tej właśnie strony zmarłego monarchę belgijskiego, tymczasem zaś, gdybyśmy chcieli przeprowadzić porównanie pomiędzy nim i panującymi dziś w Europie królami-demokratami, wszystko mówi za tem, iż palmę pierwszeństwa trzebaby tu było przyznać Albertowi I. Po jego śmierci nastąpiła w Belgji bardzo duża zmiana i Leopold III, który otrzymał z całą pewnością wysoce demokratyczne wychowanie, dalekim jest jednak od stosunku, który łączył jego ojca z ludnością belgijską. Najbardziej charakterystycznym jest tutaj fakt, iż pierwszym, któremu powierzył król Albert opiekę nad swym synem, był nauczyciel ludowy, Noterdaeme. Miał on za zadanie nauczenie młodego następcy tronu trzech rzeczy: skrupulatności, obowiązkowości i pracowitości: Działo się to przytem przed wojną, a więc w okresie, kiedy demokracja wśród królów nie była popularną.

Król Albert I nie był demokratą tylko dla zdobycia sobie popularności. W młodości swej nie przygotowywano go zresztą do objęcia tronu i gdyby nie zagadkowa śmierć jego starszego brata (podobno zginął w pojedynku), nigdy nie wstąpiłby on na tron królewski. Wychowany bardzo skromnie, niemal po mieszczańsku, nie przykładał specjalnej wagi do opanowania nuansów języka francuskiego i mówił, podobnie zresztą jak i obecny król Leopold III, o wiele lepiej po flamandzku, niż francusku.

Małżeństwo króla Alberta z ks. Elżbietą bawarską było prawdziwem małżeństwem kontrastów. Ona — niesłychanie delikatna, dumna, muzykalna, okazująca wielkie zainteresowanie dla sztuki. On — wysportowany, realny, jak wszyscy Koburgowie, interesujący się mechaniką i wychowany na dworze, na którym król Leopold II powtarzał przy każdej sposobności, iż muzyka jest najdroższym sposobem robienia hałasu. Król Albert kochał jednak bardzo swą żonę i dlatego też, by zrobić jej przyjemność, poczynił szereg ustępstw na rzecz muzyki i literatury.

Demokratyzm króla Alberta najlepiej był widocznym w zetknięciu się z tłumem. — W Belgji bardzo popularnym jest sport pelote, przypominający nieco nasz palant. Pelota jest jednak uprawianą wyłącznie tylko przez robotników i chłopów, którzy w sobotę popołudniu udają się na wszystkie większe place na przedmieściach i tam zakreśliwszy na bruku granice boiska, grają bez zwracania uwagi na to, iż hamują zupełnie ruch uliczny. Sport ten jest uprawiany w Belgji od dziesiątków lat, więc też król Albert znalazł tę rozrywkę za b. godziwą, zwłaszcza, iż w dniu wielkich meczów peloty, organizacje polityczne muszą odwoływać swe wiece, gdyż z góry jest wiadomem, iż robotnicy na nie nie pójdą. Widzimy też króla Alberta bardzo często na rozgrywkach peloty, stojącego w tłumie robotników bez żadnej ochrony i pijącego później z nimi, jak to było w tradycji, kufel specjalnego piwa belgijskiego „gueze", do którego wrzuca się cukier. Przez pewien czas król Albert pił „gueze" nawet u siebie w pałacu ku wielkiemu przerażeniu królowej Elżbiety. Jeden z sekretarzy króla Alberta, Piere Goemoere opisał w wspomnieniach o królu, iż ten jedząc śniadanie, maczał bułkę w kawie i później dopiero ją brał do ust. Królowa Elżbieta surowo zawsze karciła za to króla i dlatego też, gdy nie było jej przy stole, monarcha belgijski ze specjalną przyjemnością korzystał z wolności.

Bardzo często widzimy króla Alberta, jadącego samotnie po szosach belgijskich na motocyklu. Pędził on zawsze z szaloną szybkością i raz nawet został zatrzymany z tego powodu w Charleroi przez policjanta, który go nie poznał, gdyż nosił na głowie kask. Król Albert nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa zbyt szybkiej jazdy. Jak nam w swoim czasie wychowawca króla Leopolda III, p. Herman Teirlinck opowiadał, wiele osób z otoczenia Alberta I bało się poprostu wsiadać do samochodu, prowadzonego przez monarchę. Szybkość 100—120 km na godzinę była wówczas normalną. W tem też znajdziemy częściowo wytłumaczenie wypadku samochodowego, który zdarzył się przed dwoma laty Leopoldowi III: Pogardę dla niebezpieczeństwa musiał on odziedziczyć po ojcu. Król Albert był również zapalonym cyklistą i gdy żył jeszcze Leopold II, sam zajmował się reperowaniem swych rowerów.

Osobny rozdział trzeba poświęcić stosunkowi króla Alberta do prasy. Codziennie rano i wieczorem przeglądał on osobiście nie tylko prasę belgijską, lecz i główne organy zagraniczne. Do dziennikarzy miał słabość, a fotografów, których spotykał na rozmaitych uroczystościach, znał z imienia i nazwiska. Jeden z nich w czasie zdjęć ustawiał monarchę belgijskiego pod słońce, prosił go o przechylenie głowy, uśmiechnięcie się itp. Król bawił się zawsze temi uwagami i mówił: „popatrzcie, robi on ze mną co chce".

Króla bawiły zazwyczaj „kaczki" lansowane przez żądnych sensacyj reporterów. W czasie swej wizyty, po zakończeniu wielkiej wojny, w Stanach Zjednoczonych osoba jego stała się tam niezwykle popularną. Prasa amerykańska pisała o królu Albercie na całe kolumny i prześcigała się w podawaniu jak najbardziej fantastycznych wiadomości. Rekord pobił tu jednak pewien dziennik z Pittsburga. Napisał on mianowicie, iż król Albert, w czasie wizyty w tem mieście, udał się na mecz bokserski. (Dodajmy tu, iż prasa amerykańska nazywała Alberta I — „królem sportowców"). Walka była jednak niesłychanie brutalną i specjalnie dużo zostawiało do życzenia zachowanie się jednego z bokserów. Monarchę belgijskiego miało to tak zdenerwować, że w pewnej chwili powstał ze swego miejsca, skoczył na ring i jednem uderzeniem pięści rozciągnął na deskach brutalnego boksera. Monarcha belgijski opowiadał o „kaczce" tej z wielkiem zadowoleniem.

Król Albert przykładał ogromne znaczenie do wychowania swych synów. Instrukcje, jakie podał on w liście do jednego z wychowawców — Vitala Plasa, są bezsprzecznie jednym z najpiękniejszych dokumentów, jakie po tym wielkim królu pozostały.

— Nie życzę sobie — pisał król Albert do wychowawcy ks. Leopolda — ażeby dzieci moje lubiły jazdę konną, lub też polowanie (dodajmy tu, iż król Albert był ogromnym zwolennikiem natury i spędzał niejednokrotnie całe godziny na obserwacji zwierząt, żyjących na wolności. W Kongo stworzył on „Park Alberta", gdzie na 600 km kwadratowych zaprowadzony został jeden z najpiękniejszych rezerwatów na świecie). Niech uprawiają sporty: gimnastykę, pływanie, tenis. Życzę sobie, ażeby posiadali znajomości praktyczne we wszystkich dziedzinach i żeby byli wychowani, jak synowie mieszczan, jak dzieci ludu.

— Nie powinni też obawiać się mówić prawdy. Jeśli nie spełnią swego obowiązku, przyśle ich pan do mnie, by powiedzieli to sami.

J. Hauptman (Bruksela).

Dokończenie ze str. 17-ej

nej i artystycznej formie, którą są wspaniałe corsa z tradycyjnemi walkami kwiatowemi i rzucaniem konfetti, oraz imponujące korowody masek karnawałowych, podobne do tych, które widuje się na francuskiej Riwierze.

— Vamos bailar! (chodźmy tańczyć) — rozlegają się okrzyki rozbawionych tłumów, które gdy noc zapadnie płyną olbrzymią falą do „Teatro Colon" w Buenos Aires, gdzie w tym okresie odbywają się najwspanialsze bale. Tam obowiązującym strojem dla panów jest krótki tropikalny fraczek, t. zw. diner-jacket z białego płótna bawełnianego, do czarnych spodni i pumpsów. Panie pojawiają się w powiewnych poematach z gazy i organdi, jakich nie powstydziłyby się ateliers Wortha czy Schiaparelliego.

— Mas! mas! (jeszcze! nasze: mało!) — to szmer tysiąca głosów, które towarzyszą każdej dłuższej pauzie w grze zespołów orkiestrowych. A jak one grają! Trzeba samemu słyszeć, by ocenić czar tanga, które rodzi się tam co noc, wyśpiewane przez instrumenty muzyków argentyńskich.

— Zamrozić szampana! — takiego zamówienia nie odebrał w czasie karnawału jeszcze żaden kelner w Argentynie czy Brazylji. Bo samobójców, którzyby poili się alkoholem przy 38-stopniowym upale, tam niema. Pije się tylko mrożone mleko kokosowe, które chłodzi lepiej, niż lody i różne lemoniady. A po skończonym balu, gdy świt srebrzy się wśród wyniosłych palm, wszyscy podążają na tradycyjne „puchero" (sztuka mięsa), podobnie jak my chętnie zjadamy wtedy tradycyjne... kiełbaski i pijemy smaczny barszcz. Przy „puchero" omawia się program zabaw pokarnawałowych. Ci, których stać na to, wyjeżdżają najchętniej do Vina del Mar, najelegantszego kąpieliska na chilijskiem wybrzeżu, dokąd przybywa wówczas dosłownie cała śmietanka towarzyska Ameryki Płd. i kończy karnawał nad morzem. Inni znów wybierają się „na Południe".

Gdy u nas ktoś powie: Jadę na Południe! — wszyscy wiedzą, że oznacza to podróż do ciepłych krajów. Tam wręcz przeciwnie. Południe, to „Ziemia Ognista", nazwana tak chyba dlatego, aby „głupi się dziwował", że ognia tam niema, zato jest masa lodu, śniegu i solidny mróz!

Juljusz Leo.



WYMÓWKA...

Słynna para tancerzy, Paryżanin Myrio i Jugosłowianka Desha, występujący obecnie w Casino de Paris i Tabarin, kreuje niezwykle artystyczne tańce których wartość spoczywa w niezwykłej wyrazistości.

Fot. D'Ora — Paryż

PORANNA GIMNASTYKA



Na lewo:
Ćwiczenie pierwsze.

Na prawo:
Ćwiczenie drugie.



Nie tylko życie ludzkie składa się z szeregu drobnostek, pozornie bez znaczenia, których brak może zaważyć na harmonji całości, ale także nasze ciało musi być trenowane we wszystkich szczegółach budowy, celem utrzymania harmonji sił, ruchów i budowy. Gimnastyka poszczególnych części ciała wymaga dużo koncentracji i cierpliwości, aby efekt był zadawalający. Wiemy, że zdrowie jest najwyższem błogosławieństwem, którego wszyscy pragniemy i dlatego nasze ciało musi być stałym przedmiotem naszej wytrwałej pracy i cierpliwości. Musimy wszyscy zdobyć się na energję trenowania poszczególnych członków ciała w tem przekonaniu, że pracujemy dla własnego dobra, t. j. dla utrwalenia zdrowia i przedłużenia młodości.

Taki właśnie jest cel naszego kącika gimnastycznego. Podajemy dzisiaj kilka wskazówek, jak wytrenować najbardziej racjonalnie i celowo mięśnie rąk i nóg.

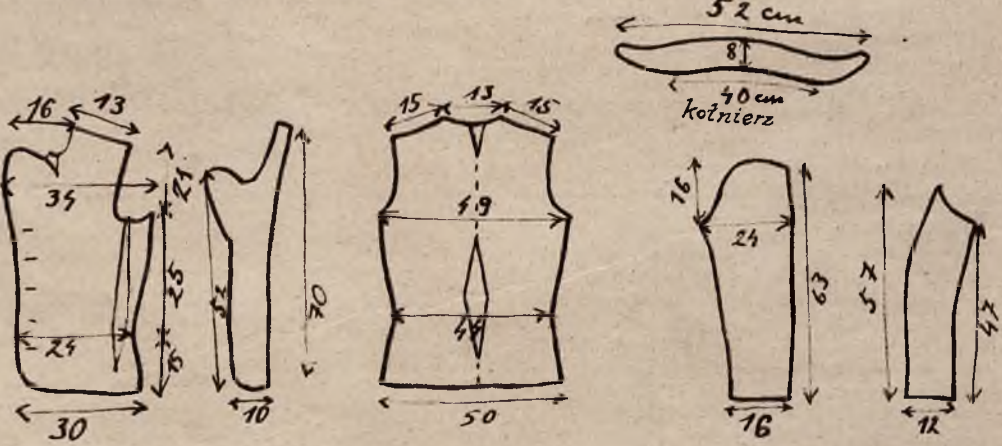
Ćwiczenie I. Siadamy swobodnie na podłodze, jak na ryc. 1. Widzimy, że prawa noga zgięta jest nieco ku środkowi. W tej pozycji, podtrzymując uniesioną nogę, wykonamy ćwiczenie obrotowe stopy oraz ćwiczenie rozluźniające stawy. Zlekka uniesioną nogę utrzymujemy w wyprężonym bezruchu, poruszamy natomiast wyłącznie stopą od kostki. Takich ruchów obrotowych wykonujemy 20-cia w jedną stronę, 20-cia w drugą. Następnie odejmujemy ręce, któremi podtrzymywaliśmy gimnastykowaną nogę i powtarzamy ćwiczenie obrotowe stopy bez podtrzymywania nogi rękoma. Po wykonaniu obrotów stopą w jedną i drugą stronę stajemy i wykonujemy kilka ruchów wahadłowych lub przysiadowych obydwiema nogami.

Ćwiczenie II. Przyjmujemy pozycję prostą, prężąc ramiona w górę, poczem zginamy plecy i ramiona (jak na ryc. 2) dziesięć razy w bok na prawą stronę, dziesięć razy na lewą stronę, nie zapominając jednak o tem, że plecy i ramiona muszą być wyprężone i nie należy zginać się wprzód. Staramy uginać się przy tem ćwiczeniu w lewo i prawo coraz niżej. Następnie przyjmujemy pozycję zasadniczą, t. j. stajemy prosto z ramionami wzniesionemi ku górze i wykonujemy ramionami kilka ruchów wahadłowych, rozluźniając naprężenie w kolanach. To ostatnie ćwiczenie ma na celu osiągnięcie równowagi w napięciu mięśni

Z R O B I Ę T O S A M A !

MĘSKA KURTKA
NARCIARSKA

Zbyt długo już zajmowaliśmy się strojami pięknych pań, zkolei musimy zająć się naszemi wysportowanemi towarzyszami życia. Dzisiaj podajemy sposób wykonania szydełkowanej kurtki narciarskiej w barwną kratę. Wykonujemy kurtkę szydełkiem według schematu kroju obliczonego na 100 cm. obwodu klatki piersiowej Jako materjał najlepsza będzie włóczka „England" marki „Trójkąt w Kole", 400 g granatowej i po 200 g pomarańczowej i czerwonej. Wszystkie części szydełkujemy jako ażurowe tło, szydełkując naprzemian jeden słupek, dwa oczka powietrzne. Przody i plecy zaczynamy od dołu i przerabiamy według schematu kroju, na razie nie zwracając uwagi na wszytki. W lewy przód wrabiamy 5 dziurek na guziki, zastępując półsłupki oczkami powietrznemi. Podłożenia pod przody wykonujemy tą samą techniką. wrabiając w jedno z nich również 5 dziurek. Wycięcia na rękawy wykonujemy ujmowaniem. Rękawy wykonujemy tą samą techniką, zaczynając je od góry. Gotowe części rozprasowujemy i przeciągamy w deseń w kratę w następujący sposób. Przywiązujemy nitkę na górnym brzegu danej części i przeciągamy w pionowym kierunku na przemian, nabierając na drut pasek z oczek powietrznych i omijając go. (Patrz rysunek). Układ kolorów: w każdą kratkę tła przeciągamy tam i zpowrotem podwójną nitkę 3 razy. Przeciągamy na szerokość 5 cm. granatową włóczką, 1 cm. czerwoną, 1/4 cm. pomarańczową, 1/2 cm. granatową, 1/4 cm. pomarańczową, 1 cm. czerwoną, 5 cm. granatową, 1 cm. pomarańczową i powtarzamy od początku. Patrz schemat kraty gdzie części



Schemat kroju męskiej kurtki narciarskiej.

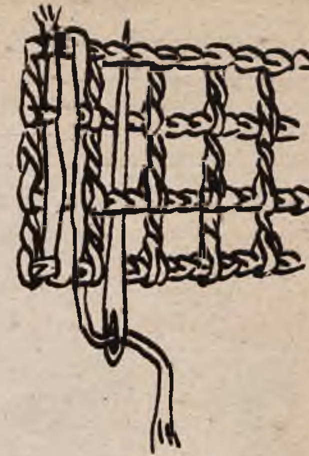


Schemat, orjentujący nas w kolorach włóczki, użytej przy szydełkowaniu kurtki narciarskiej



Praktyczna kurtka narciarska z włóczki (model własny autorki artykułu).

zakreskowane przedstawiają kolor granatowy, części kropkowane kolor czerwony, części białe kolor pomarańczowy. Po ukończeniu przeciągania wzdłuż, przeciągamy wpoprzek w tych samych odstępach, ale tylko wełną pomarańczową i czerwoną, ponieważ granatowe tło już jest gotowe. Po przeciągnięciu w ten sposób wszystkich części rozprasowujemy je bardzo silnie, poczem wykonujemy wszystkie oznaczone na kroju wszytki. Obydwie części rękawów zeszywamy ze sobą, dolny brzeg rękawów obrębiamy. Kołnierz, który wykonujemy w dwóch jednakowych częściach zeszywamy ze sobą, następnie przyfastrygowujemy do wycięcia, odginamy go na prawą stronę roboty i przyfastrygowujemy i przyszywamy podłożenia przodów, przymocowując jednocześnie i kołnierz. Wszystkie szwy najlepiej wykonać na maszynie. Następnie odwracamy podłożenia, podszywamy je pod przody niewidocznemi ściegami. Dolny brzeg obrębiamy na 1/2 cm. pod spód, poczem wszystkie brzegi łącznie z brzegami kołnierza obstebnowujemy na 1/2 cm. od brzegu. Kieszenie szerokie na 14, wysokie na 16 cm., wykonujemy tą samą techniką i nastębnowujemy na brzegach przodów. Zapinamy na galalitowe guziki w kolorze granatowym, lub czerwonym. Tę samą kurtkę możemy wykonać z ostrzejszej sportowej wełny naprzykład „Popularnej" marki „Trójkąt w Kole" a do przeciągania użyć włóczki „Polarnej" tej samej marki. Wtedy będzie kurtka wprawdzie „ostrzejsza", ale znacznie cieplejsza. Do spodni narciarskich z jasno-szarej gabardyny, będzie nadawała się kurtka z wełny w kolorze beige w kratę jaskrawo zieloną i ciemno-czerwoną. Wogóle dobór barw może być dowolny zależnie od gustu osobistego i barwy kostjumu narciarskiego. Należy jednak dać przewagę barwom silnie jaskrawym, gdyż tylko takie wyglądają na tle śniegu zupełnie czysto.



Oto sposób przeciągania pionowych rzędów ażurowego tła.

Mieczysława Drozdowska.

ŻYCIE TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

TEATR LETNI



W wiedeńskiej farsie p. t. „Pod zarządem przymusowym" stworzył Znicz przezabawną kreację buchaltera. Niemirzanka była pikantną i pełną werwy divą operetkową.

Fot. Dr. Azet.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ

W kościele Marji Magdaleny we Lwowie został pobłogosławiony związek małżeński między Heleną Jordan-Rozwadowską, córką śp. Jerzego i Anny z Kościesza-Gołaszewskich a ziemianinem z Branicy, Ludwikiem Korab-Rulikowskim, synem śp. Władysława i Elżbiety z hr. Mycielskich.

Fot. Kazimierz Skórski — Lwów.



TEATR „8·15"



Na scenie Teatr „8.15" ujrzeliśmy operetkę „Cnotliwa Zuzanna" z Lucyną Messal w roli tytułowej. Bardzo efektownie wypadł „poemat miłosny" w wykonaniu uroczej tancerki M. Kołpikówny i E. Paplińskiego.

Fot. Dr. Azet.

SALON »ZACHĘTY« W WARSZAWIE



Tegoroczna wystawa obejmuje m. in. również prace znanego artysty Konstantego Wróblewskiego. Na zdjęciu „Motyw z Natolina", odznaczający się rzetelnemi walorami.

HIGH-LIFE NA „DESKACH"

W Davos bawią wraz z wieloma reprezentantami międzynarodowego towarzystwa również sławny automobilista Hans v. Stuck (po lewej), oraz znana sportsmenka i artystka niemiecka Leni Riefenstahl, uprawiająca z zapałem sport narciarski.



Najlepsze cocktaile z domowego baru

Czasy się zmieniają, a z niemi i upodobania ludzi. To, co jeszcze nie tak dawno temu było synonimem przyjemności, dziś nie odgrywa więcej żadnej roli w repertuarze życiowym powojennego pokolenia. Pogawędki naszych dziadków i ojców toczyły się leniwie przy kuflu piwa lub szklance wina, a ploteczkom naszych matek towarzyszyła nieodłączna filiżanka kawy.

Dziś, gdy życie nabrało niebywałego tempa, gdy w każdym z nas nerwy grają w takt zawrotnego foxtrotta czy szalonej rumby — piwo i wino nie wystarczają już. Ludzie zaczęli szukać za jakimś nowym napojem, któryby podobnie jak ich życie zespalał najbardziej wyszukane, a drażniące podniebienie płynne rozkosze. I wymyślili: cocktail!

Gdzie ten napój po raz pierwszy napełnił kieliszki, jest rzeczą zgoła obojętną. Dość, że jego władztwo objęło szybko świat cywilizowany i że dziś nie ma chyba na globie takiego lokalu, w którymby cocktail nie odgrywał dominującej roli jako król napojów barowych. Można nawet powiedzieć, że bar w nowoczesnem znaczeniu powstał właściwie poto, by produkować cocktaile i serwować je wybrednym smakoszom alkoholowych podniet.

A mikser? — Czy nie jest on wielkim ochmistrzem dworu cocktailowego? Ten — jak go nazwano: czarodziej baru — byłby nie do pomyślenia bez legendarnego dziś „cocktail-shaker'u" w swych zwinnych rękach, które uruchomione niezawodną intuicją potrafią czerpać z właściwych flaszek współczynniki „rozkoszy bogów". Obserwowałem nieraz młodych i starszych gentlemanów, którzy idąc „z duchem czasu" starali się przypodobać płci pięknej przez mniej lub więcej zręczne naśladownictwo np. murzyna, grającego na jazzbandzie. Byli i są tacy, którzy swe sukcesy pragną ugruntować z pomocą właśnie shaker'u.

Dokończenie na str. 31-ej



Fragment pokoju męskiego, w którym zwykle umieszcza się bar domowy.



Poniżej: Napoje można podać także i na tacy, która zastąpi „bar na kółkach".

Trzy recepty dla waszego baru:



Alexandra-Cocktail:
Napełnić shaker lodem i wlać w równych częściach gin, creme de cacao i świeżą śmietanę. Dobrze wymieszać!

Pink-Lady:
Nalać do shaker'u literatkę ginu, mały kieliszek likieru bananowego, 3 kieliszki soku pomarańczowego i kieliszek grenadynki.

Royal-Cocktail:
Shaker napełnia się 2 kieliszkami pomarańczówki, ćwiartką literatki likieru brzoskwiniowego i taką samą ilością szampana. Zamiast szampana można zastosować z równym powodzeniem: ćwiartkę literatki ginu i ćwiartkę szklanki vermouthu. Dobrze mięszać dodając trochę wody sodowej.



Poniżej: „Bar na kółkach" to cel westchnień niejednego gentlemana, który lubi bawić się w miksera.

ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

Rendez vous na Kasprowym



Na Kasprowy wybierają się rzecz prosta przedewszystkiem narciarze. Są jednak i tacy, którzy nieuprawiając królewskiego sportu, chętnie odwiedzają łatwo dostępny szczyt tatrzański, by rozkoszować się wspaniałem powietrzem i pięknymi widokami. Dla tych moda zimowa stworzyła rozliczne kreacje od prostych ubrań sportowych począwszy a skończywszy na różnorodnych „kombinacjach".

Nawet ten, który ledwo rozróżnia firn od szronu, musi przyznać, że śnieg działa na nas — ludzi, w specyficzny sposób, jakby nie był „produktem" czystej wody, ale wody... ognistej. Odczuł to na sobie i reprezentant flegmatycznych synów Albionu, lord Higginbottom, fundator puharu w konkurencji międzynarodowej curling'u, gentleman nad wyraz wytworny, któremu podczas wypraw rybackich wygalowany sługus nabija w białych rękawiczkach glistę na haczyk. „Zew śniegu" sprawił, że ten starszy pan zdobył się na niebylejaki wyczyn sportowy, rzucając w St. Moritz dużą kulę śnieżną na... plecy młodej lady, która liczyła sobie nie mniej, nie więcej, tylko 67 wiosen! On to, którego w City nie widzi się inaczej ubranego, jak tylko w żakiecie, cylindrze i jasnych getrach, ukazał się zdumionym oczom swego otoczenia w t. zw. parce, noszonej przez Eskimosów i w „mackinaw", ulubionym stroju traperów kanadyjskich. Wrażenie było piorunujące i „ciężarne" w skutkach, bo nie upłynęło kilka tygodni, a wszyscy chodzili w „parkach" i „mackinaw'ach". Stoki Alp przybrały wygląd kanadyjskich ostępów, a doliny upodobniły się do grenlandzkiej pustyni śnieżnej.

Moda ta jednak szybko się znudziła narciarzom, którzy mimo niewątpliwych zalet tych egzotycznych strojów, czuli się w nich nieco skrępowani. Jak było do przewidzenia, zarówno „parka", jak i „mackinaw", przeznaczone wyłącznie do marszów, lub w najlepszym razie do statystowania podczas zawodów, nie mogły się stać odpowiednim kostjumem narciarskim dla sportowców, którzy jazdę na nartach ograniczają przeważnie do zjazdów, posługując się chętnie „up-hillem" lub kolejką.

Zaczęto więc w dalszym ciągu szukać za czemś, co zastąpiłoby do znudzenia obnoszony „garnitur" norweski. I tak przyszły do głosu najrozmaitsze odmiany kamizelki — od tyrolskiej dwurzędówki począwszy, a skończywszy na włóczkowych jednorzędówkach, kombinowanych z irchą. Pozostały jeszcze spodnie, których metamorfoza postępowała równolegle do zmian kroju i ogólnego wyglądu kurtki. Po różnych eksperymentach, mniej lub więcej udanych, zdecydowano się na pumpy — początkowo krótsze, potem dłuższe. Z chwilą podciągnięcia spodni i odsłonięcia goleni, stała się aktualną sprawa specjalnych pończoch, przedtem w długich „kiszkach" norweskich prawie całkiem zapoznawanych. Wprawdzie

Dokończenie na str. 31-ej









Na prawo: Kamizelki w różnych odmianach zaczynają coraz bardziej wypierać sweatry i pullovery...

KAMIZELKA:	SPODNIE:	KOSZULA:	KRAWAT:	SZAL:	NAKRYCIE GŁOWY:
długa, oliwkowa w stylu tyrolskim	pumpy narciarskie w bronzie	flanela beige z przyszytym kołnierzem	szkocki, długi	wełniany szal w kolorze spodni	biała czapka angielska
krótka dwurzędowa narciarska	pumpy narciarskie w kolorze bordo z białemi pończochami	siatka pod pullover bordo z wysokim kołnierzem			biała polo czapeczka
jednorzędowa wzór w drobną kostkę brązowo-zielona	zielone spodnie norweskie	zielona z przyszytym kołnierzem	długi, ciemnobrązowy		zielona baskijka
wysoko zapińana dwurzędowa — wzór w większą kostkę czerwono-żółtą	ciemno-brązowe spodnie norweskie	kremowa z przyszytym kołnierzem	szkocki, długi		brązowa baskijka
dwurzędowa krótka – wzór w granatowo-brązowy fish-great	pumpy narciarskie w granacie z białemi pończochami	bez kołnierza		długi z białej włóczki	granatowy kapelusz tyrolski
tyrolska w jednostajnym granacie	pumpy narciarskie białe lub żółte	bez kołnierza		krótki z żółtej włóczki	opaska narciarska

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA ZIEMIAŃSKA. Z upieczonej kuropatwy lub paru dzikich ptaszków (kwiczołów, bekasów i. t. p.) wyjmuje się mięsne części (piersi) i odkłada, resztę tłucze się w moździerzu z filiżanką ugotowanej soczewicy lub fasolki. Utłuczoną miazgę daje się do rondelka, zalewa litrem buljonu i gotuje przez pół godziny, poczem się wszystko przeciera przez sito. Zupę zagotowuje się i podprawia żółtkiem, roztartem z paru łyżkami śmietany. Do wazy wkłada się odłożone poprzednio mięso, pokrajane w paseczki i wlewa na nie gorącą zupę, skontrolowaną poprzednio, czy dość słona. Osobno podaje się grzaneczki z kruchej bułki.

RAGOUT Z POZOSTAŁYCH MIĘS. Z resztek pieczeni, dziczyzny lub drobiu sporządzić może pomysłowa pani domu doskonałe ragout, które podane na muszelkach robi dobre wrażenie. Należy tylko mięsa odpowiednio dobierać. Nie należy np. łączyć białego mięsa z dziczyzną, lub dodawać mięso z gęsi, którego specyficzny aromat górowałby nad każdem innem. Do mięsa, pokrajanego w drobne kawałki, dodaje się parę łyżek uduszonych pieczarek i kieliszek madery, podgotowuje, oprusza mąką, zasmaża, podlewa rosołem (skąpo, aby ragout było zawiesiste), zaprawia solą, pieprzem i sokiem cytrynowym, nakłada na muszelki, kropi masłem i wstawia na parę minut do piecyka.

Tak samo ragout można też w miejsce rosołu zmieszać z paru jajami, dobrze rozkłuconemi, potem dopiero nakładać na muszelki, kropić masłem i zapiekać w piecyku. Podaje się je posypane zieloną pietruszką i ubrane marmoladą pomidorową.

RAVIOLI. Potrawa figurująca prawie na każdym jadłospisie w Italji i podawana w sezonie szpinaku do każdego menu. Są to pierożki, napełniane szpinakiem i polane oliwą, którą sobie każdy przy stole z oliwek wyciska. U nas oczywiście zastąpić możemy oliwę rumianem masłem. Do ciasta na pierożki dodaje się prócz jaja łyżkę masła i łyżkę tartych, gotowanych ziemniaków na 25 dkg mąki. Ciasto powinno być dość tęgie. Szpinak zwyczajnie przyrządzony na zasmażce gęsto, aby się dał w pierożki zawijać. W kuchniach włoskich i francuskich dodaje się do szpinaku roztarty ząbek czosnku. Ravioli podaje się natychmiast po ugotowaniu, polane rumianem masłem z bułeczką.

SANDACZ Z PIECZARKAMI. Głowę i ości odjęte z oczyszczonego sandacza wygotowuje się z jarzynami. Rybę kraje się w kawałki, posypuje solą i mąką i szybko osmaża na oliwie lub maśle. 5—10 dkg pieczarek obiera się, opłukuje, następnie kraje i wsypuje na rozpuszczone masło do rondla. Na pieczarki kładzie się osmażone kawałki ryby, dodaje pęczek zielonej pietruszki, podlewa troszkę rosołu, wygotowanego poprzednio z odpadków ryby i dusi pod pokrywą 20—30 minut. Pod koniec podlewa się 1/4 litrem śmietany, rozbitej z łyżeczką mąki, zagotowuje i wydaje z makaronem lub tartemi ziemniaczkami.

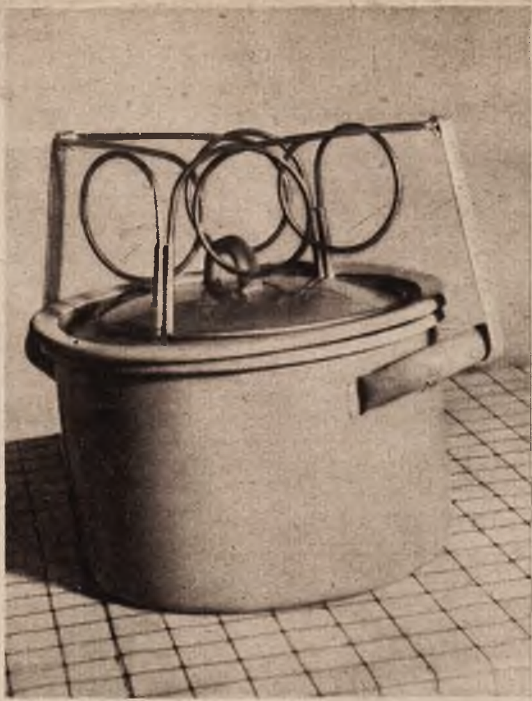
WĄTRÓBKA CIELĘCA DUSZONA. Obciągniętą z błony wątróbkę wkłada się na dwie godziny do mleka. Wyjętą obsusza się serwetą i szpikuje gęsto młodą słoninką przez całą grubość wątróbki. Do ryneczki, wyłożonej plasterkami słoniny wkłada się wątróbkę obrumienioną poprzednio osobno z wszystkich stron na ostrym ogniu. Wątróbka podlana rosołem lub maderą, dusić się powinna na silnym ogniu przez 20 minut. Po uduszeniu kraje się ją w plastry i posypuje solą. (Wątróbka duszona z solą twardnie!). Sos, z którego należy tłuszcz zebrać, podaje się osobno w sosjerce.

TORT „GOGUŚ". Ucierа się na pianę 8 żółtek, 1 jaje i 14 dkg cukru: następny dodatek stanowi 10 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady. Wśród ciągłego mieszania dodaje się jeszcze 16 dkg laskowych orzechów, zmielonych i dwie łyżki wody. Wkońcu przychodzi piana z 8 białek i ostatni dodatek 6 dkg tartej bułki i 5 dkg mąki, zmieszanej z płaską łyżeczką proszku do pieczywa. Masę wlewa się do dużej formy tortowej i piecze powoli. Upieczony tort powinien być lekki i dość wysoki. Na drugi dzień, przekrawa się go na 4 płytki i przekłada kremem. Na krem zagotowuje się gęsty syrop z 20 dkg cukru z wanilją i pół szklanki wody. Syrop ostudza się przy ciągłem mieszaniu. Osobno uciera się 12 dkg masła z 3 żółtkami i 10 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady, następnie dodaje się ostudzony syrop i miesza razem na jednolitą, pulchną masę. Przesmarowane kremem płytki tortu składa się razem, cały tort pokrywa się również cienką warstwą kremu i obsypuje tartemi orzechami lub grylażem, tj. palonemi w cukrze parzonemi migdałami, potłuczonemi następnie w moździerzu.

LIKIER WANILJOWY ŻÓŁTKOWY. 30 dkg mączki cukrowej rozpuszcza się w 1/4 litra wody i ubija z 5 żółtkami i kawałkiem wanilji na parze na gęsty krem, który ostudzony miesza się z ½ l najlepszego spirytusu. Dobrze zakorkowana flaszka z likierem powinna stać w chłodnem miejscu przez 2 tygodnie przed użyciem.

Sc. Ko.

Nowości gospodarstwa domowego



Nieodzownym niemal przyrządem w nowoczesnej kuchni jest wieczko, zaopatrzone w spiralne kółka z gumy, które nałożone na garnek działają niby sprężyna. Gdy w garnku nagromadzi się zbyt wielka ilość pary, kółka gumowe uginają się i wieczko się podnosi, pozwalając ujść nadmiarowi pary. (Z wystawy gospodarstwa domowego „Dima" w Zurychu).

Fot.: Zygm. Borzęcki, Zurych.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 3 — **Styczeń** — 31 dni



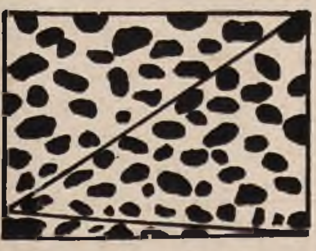
NIEDZIELA **9** Juliana, Marcj.	Zupa ziemiańska Ravioli. Indyczka pieczona z sałatką jarzynową. Kompot mieszany. Tort "goguś". Kolacja: Pasztet z wątróbki cielęcej.
PONIEDZ. **10** Pawła pust.	Zupa z brukselki. Płatki z kapustą. Pieczeń sarnia z kompotem bruśnicowym. Szarlotka z jabłek na grzankach ze strucli. Kolacja: Ragout z pozostałych mięs.
WTOREK **11** Honoraty	Rosół z lanem ciastem. Brukselka z rumianem masłem. Rulada cielęca z jarzynkami. Kompot z suszonych owoców. Kolacja: Wątróbka duszona z ryżem.
ŚRODA **12** Arkadiusza	Zupa z bułek /panade/. Hachée z mięsa rosołowego z jajem. Pieczeń barania na dziko z kluseczkami. Kisiel z malinowego soku. Kolacja: Pilaw turecki.
CZWARTEK **13** Hilarego b.	Kapuśniaczek z kiełbasą. Rizotto z groszkiem /z puszki/. Befsztyki w garniturze z jarzyn. Suflet z jabłek. Kolacja: Omlety z grzybkami.
PIĄTEK **14** Feliksa z Noli	Zupa grzybowa z płatkami. Budyń z sera i grysiku. Sandacz lub dorsz z pieczarkami. Buchtle z pary na śmietance. Kolacja: Śledź marynowany lub sałatka rybna w majonezie.
SOBOTA **15** Maura op.	Rosół z kaszką krakowską. Bułetki z mięsa rosołowego. Wieprzowy karczek wędzony z purée grochowem. Kompot. Kolacja: Szpinak z parówkami.



HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 1-go.

MINY PODWODNE.



Rysunek wskazuje przebytą w dwóch prostych linjach drogę pancernika.

DZIEWIĘĆ KWADRATÓW.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

DWADZIEŚCIA JEDEN MIAST.

Sześcioma miastami, jakie zwiedził podróżnik po opuszczeniu P. były I, H, D, E, F, G.

PIOTR I PAWEŁ.

Piotr ma lat 24, Paweł 16.

PRZEPRAWA PRZEZ RZEKĘ.

Przeprawia się dwóch synów i jeden wraca. Przeprawia się ojciec i wraca drugi syn. Jadą obaj synowie i jeden znów wraca. Przeprawia się matka i powraca drugi syn. Znowu jadą obaj synowie i jeszcze raz jeden z nich wraca po psa. Razem jedenaście przepraw.

KRYPTOGRAM „NOWOROCZNY".

„Na Nowy Rok przybyło dnia na barani skok". (Nam, owy, Rok, prz, yby, łod, nia, nab, ara, nis, kok).

LOGOGRYF.

I. Wigilja, II. Choinka. — 1) Warcaby, 2) ischias, 3) Garonna, 4) Indiana, 5) ludność, 6) jaskier, 7) aksamit.

(Tea)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

U KUPCA.

— Czy ma pan wino?

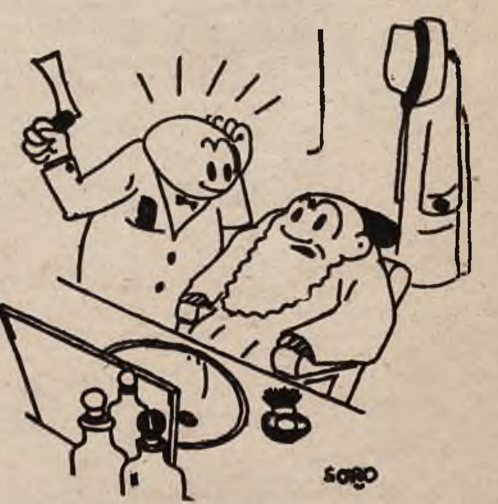
— Oczywiście. Jakie pan sobie życzy?

— Ile kosztują dwie flaszki?

— Rozmaicie. Może pan kupić dwie flaszki za 4.20 zł., 4.80 zł., 5 zł., 5.60 zł., 5.80 zł., 6.40 zł., 7 zł., 7.20 zł., 7.80 zł. i 8.60 zł.

Wobec tak bogatego wyboru klient postanowił naradzić się z żoną. Po porozumieniu wysłał syna, aby kupił sześć flaszek najtańszego gatunku. Syn jednak wrócił z pięcioma flaszkami pięciu różnych gatunków wina, gdyż okazało się, że jest to cały posiadany przez kupca zapas. Ile kosztowała każda flaszka z osobna?

U FRYZJERA.



— Proszę mi wyciąć w brodzie małą dziurę, aby było widać moją Legję Honorową!

(„Ric et Rac").

Dokończenie ze str. 5-tej.

czyńskiego i H. Morycińskiego, gdzie — obok Z. Biesiadeckiego — jest głównym reżyserem, Bron. Dąbrowski powtórzył swą poznańską inscenizację „Wieczoru Trzech Króli", przygotował reżysersko tragedję Rostworowskiego: „Niespodzianka" i dał monumentalną (na małej scence i przy trudnościach technicznych) inscenizację „Nocy Listopadowej" Wyspiańskiego, przy współpracy architektoniczno-malarskiej prof. Stlatockiego.

O inscenizacji tej pięknie i trafnie napisał Grzegorz Timofiejew: „Wszystkie trudności, łącząc udatnie wizjonerstwo ze światem realjów, pokonała specjalna konstrukcja sceny... „Wygląd sceny — pisał Wyspiański — jest decydującym czynnikiem w konstrukcji budowy dramatu samego". W tym wypadku „wygląd sceny" wiązał nadprzyrodzone z ludzkim; wśród kształtów prostych i celowych, wśród schodów, wzniesień i pochylni niejako wielokrotniło się samo życie,..

Tyrady poetyckie bohaterów, chorus — bez zmian, potraktowane tradycjonalistycznie. Słowo biło błyskawicami natchnienia, ucieleśniało się w gesty, w poruszenia tłumów. Te zaś były bardzo umiejętnie rozmieszczone, wplecione w ład konstrukcji scenicznej, grające barwami, całą kolekcją kostjumowych możliwości, falujące w ogólnym nurcie akcji... Monumentalność nadawała całemu przedstawieniu wyraz zasadniczy"...

(s. w. bal.)

Dokończenie ze str. 7-ej.

talog Ikarosa jest zbyt obszerny i kompletny zbiór, uwzględniający wszystkie wybryki maszyn drukarskich z czasów inflacji musiałby mieć monstrualne rozmiary. Pozatem „Ikaros" jest zbyt drogi dla „maluczkich" i wymaga dodatków zmieniających ceny, — pod tym więc względem ustępuje Witkowskiemu.

Rzecz jasna, iż koperta, którą wysłano z Paryża do p. Aleksandra Landaua nie musiała koniecznie lecieć przez Natal do Brazylji, Nowy Jork, Hongkong do Krakowa, ale bądź co bądź jest ona ciekawym dokumentem, który w podróży dookoła globu, przebył większą część drogi w powietrzu. W Polsce mało osób mogło zamówić takie koperty, ponieważ imprezę tę reklamowano dość słabo, a pozatem trudno było wysłać zagranicę gotówkę (ewentualnie znaczki dla pokrycia równowartości).

W Gdańsku wydano 5 znaczków na cele pomocy zimowej, które nie odznaczają się pięknem wykonaniem, razem więc ze stosunkami politycznemi psuje się i gust w „Wolnem Mieście".

Szwajcarja wydała i w tym roku blok, a mało pocieszającem jest, iż format wynosi tylko 105×55 mm, a cena 1 frank. Łączy on w sobie dwie najwyższe wartości „Pro Iuventute" i napis wskazujący, że na ten cel Helwecja wydaje już znaczki przez 25 lat. Zastosowano tu jednak coś, co jeszcze nikomu nie przyszło na myśl, a mianowicie ząbki są wydrukowane srebrną barwą, która zresztą po potarciu palcem traci blask.

W. H.

Dokończenie ze str. 28-ej.

Jednem słowem przemieniają się w mikserów i w chęci dorównania mistrzowi z jakiegoś night-club'u podejmują próby na własnem podwórku. To było niewątpliwie początkiem wprowadzenia baru — w minjaturze — do domów prywatnych. Ale i pragnienie dogodzenia własnym upodobaniom odegrało niepoślednią rolę. Nic bowiem nie jest w stanie zastąpić przyjemności eksperymentowania w zakresie doboru składników cocktailowych i szukania za czemś nowem. Dodatni wynik takich prób staje się dla niejednego sukcesem „życiowym".

Kto jednak pragnie stać się „uczciwym" mikserem, choćby tylko na własny, domowy użytek, ten musi sobie dokładnie zapamiętać, że z cocktailem należy się obchodzić, jak... z jajkiem. Przedewszystkiem nie wolno nim potrząsać, choć wielu to robi, przypuszczając, że jeśli w grę wchodzi naczynie nazwane z angielska „shaker", co dosłownie znaczy potrząsacz, to należy trząść bez pamięci. Cocktaile się miesza i tylko miesza, bo w innym razie te z nich, które powstają z dodaniem lodu, a jest ich bardzo wiele, przez potrząsanie w shakerze przemieniają się w lodowatą wodę, w której giną z trudem powyszukiwane alkohole i soki.

Tyle na dzisiaj. Innym razem podam szereg doskonałych przepisów i recept, z których niejedna stanie się cenną zdobyczą waszego domowego baru.

J. Leo.

Dokończenie ze str. 29-ej.

i dawniej dokładano starań, by przynajmniej mały fragment wełnianych skarpet wokół butów jak najbardziej ożywić kolorowo i strojono go w odpowiednie wzory. Wszystko to jednak zbladło wobec możliwości, których dostarczyły pończochy. Tu uwzględniono przedewszystkiem wzory szkockie i lapońskie, będące ostatnim „krzykiem mody". Widzimy je również na szalach i rękawicach, a nawet zdobią one sweatery i pullovery.

Przy pumpach, które wymagają specjalnego zabezpieczenia butów przed niemiłem wtargnięciem do ich wnętrza śniegu, zaczęto nosić kamasze, sięgające do połowy łydki, w niektórych modelach aż pod kolano, sznurowane z boku, a wyrabiane z odpowiedniego płótna, lub filcu. Ugniatały one swą górną krawędzią nogi podczas marszu i niszczyły przez tarcie buty na piętach. Zastosowano więc na krawędzi gumową tasmę, przylegającą do nogi, a na pięcie poprostu wycięto odpowiedni kawałek filcu czy płótna i pozostawiono w tem miejscu but nieosłonięty.

* * *

Poświęciliśmy dużo uwagi strojowi narciarskiemu, wychodząc z założenia, że on właśnie dominuje na tle zimowego krajobrazu. Tymczasem, gdy np. znajdziemy się na Kasprowym w piękne słoneczne południe i rozglądniemy się po tarasie, zapełnionym różnokolorowym tłumem, dostrzeżemy wśród wielu narciarskich kostjumów i zwykłe stroje sportowe, najczęściej kombinowane, bo to jest dzisiaj najmodniejsze nawet w zimie. Tak ubrani przybywają tu ci wszyscy, którym nie było danem zapoznać się bliżej z rozkoszami jazdy na nartach, a którzy z Kasprowego pragną zabrać w dolinę zakopiańską bodaj „małą porcję" słońca i powietrza wysokogórskiego.

BRUMMEL.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

MARJAN NIŻYŃSKI: WIĘCIERZ WIECZORNY. Autor „Owieści o dzwonniku z portu Jaffa i ekscentrycznie wydanych „Szkiców", a poza temi zbiorami wierszy dwu poematów dramatycznych „Daltuino" i „Trzy mgły", wydał obecnie trzeci tomik wierszy „Więcierz wieczorny" (nakładem „Myśli Polskiej" w Warszawie). Jak dotychczas — tak i obecnie w tym zbiorze pozostaje Niżyński poetą bez grupy, autorem, w którym widzieć można takie, czy inne zależności i wpływy, ale który w każdym razie ma swój wyraz odrębny, trochę nonszalancki, zlekka ekscentryczny i trudno włączyć go pod jakiś wspólny mianownik poetycki. „Więcierz wieczorny" dzieli się na trzy łamy, ale za najwłaściwszy poecie pozwalamy sobie uważać pierwszy, wiersze objęte tytułem, który dał nazwę całemu zbiorkowi. Przeważają w tym cyklu wiersze osnute na wrażeniu barw, pod które podciąga poeta różne symbole i wyprowadza stąd tak skończenie piękne i silne refleksje, jak u. p. w „Czerwieni marnotrawnej", za którą „płaczą, jak za zmarłą, kapłonów mięsiste grzebienie i sople indyczych gardeł", których przedtem była krwią, jak i różnych roślin i owadów — a teraz „Któż cię, czerwień, podjudził, że ryże porzucasz trawy i nie biedronkom, lecz ludziom śmiertelne znaczysz sprawy. Oto na płachtach byczych drażnisz wściekłości pożarem — na robociarskich sztandarach krzyczysz". Poeta stwierdza, że jednak „już życia nie odmienią sztandary ani krew", więc „znów w marchew wstąp cynobrem, do głogów wróć i malin, motylom skrzydła obrąb kroplami żrałych kalin. Czekamy cię biedronki i maki krwawoliistne i zabłąkane w łąkach oczy artysty". Temi oczyma artysty patrzy poeta na świat i jego zjawiska i znajduje rozczarowanie, goryez, obrzydzenie i śmieszność, choć szuka tylko miłości i poezji. Nowy tomik Niżyńskiego raz jeszcze stwierdza jego siłę wyrazu poetyckiego, oryginalną postawę i pogłębienie refleksji. Dobra pozycja w drodze naprzód.

NOWE WYDANIA NAŁKOWSKIEJ. „Książnica-Atlas" która zdobyła sobie najwybitniejszych pisarzy polskich i wydaje ich utwory zawsze w niezwykle estetycznej szacie, pozyskała sobie również czołową przedstawicielkę literatury kobiecej w Polsce — **Zofję Nałkowską**, zapowiadając wydanie wszystkich dzieł znakomitej pisarki. Wielu z tych dzieł, już wyczerpanym w handlu księgarskim, należało się drugie wydanie. Ostatnio „Książnica-Atlas" wydała cztery książki Nałkowskiej, już wyczerpane, a mianowicie powieści **„Choucas"** i **„Dom nad łąkami"**, sztukę **„Dom Kobiet"** i psychologiczne eseje **„Charaktery"**. z.

ANDRE MAUROIS „MASZYNA DO ODGADYWANIA MYŚLI". tłom. H. Hellerówny, wyd. „R ó j". Powieść Maurois należy do tych, które biorąc za punkt wyjścia pewną fikcję życiową, czynią ją centralnym punktem akcji, ujawniającej różne niespodziewane nieraz efekty. Do tego gatunku należy „Obraz Doriana Greya" O. Wilde'a, „Skóra szagrynowa" Balzaca i wiele innych. W powieści A. Maurois spotykamy się z ciekawemi psychologicznemi zjawiskami, akcja powieści jest żywa, nieraz niespodziewana, poprowadzona ciekawie. Tłomaczenie staranne.

NA SCENIE.

WARSZAWA. W Teatrze 8,15 ujrzeliśmy Lucyną Messal w **„Cnotliwej Zuzannie"**. Nazwisko to jest ewokacją świetnego okresu operetki warszawskiej jeszcze w okresie przedwojennym, kiedy to właśnie królowała w Warszawie Messalka. Artystka ta zachowała do dnia dzisiejszego głos pełen powabu i zademonstrowała dawną klasę gry. Obok niej trzeba wymienić jej przedwojennego partnera, Józefa Redo, również „specjalistę" od lżejszej Muzy. Dobry był W. Walter, popularny komik warszawski.

Z nowszych sił — Faliszewski, Kraszewska, Rakowiecki, Czerska spisywali się należycie. Wyborną parę taneczną stanowili pp. Kołpikówna i Paplińska. Zespołem orkiestrowym, mocno zredukowanym, kierował kapelmistrz Philip.

POZNAŃ. Po Lwowie Teatr Polski sięgnął po przeróbkę sceniczną M. Gogola pt. **„Ożenek"**. Groteskę tą reżyserował p. Czengery, a dekorował p. Kosiński. Najrówniejszy poziom w wykonaniu aktorskiem wykazały panie: Katarzyna Zbikowska, Czarniecka, J. Porębska, a pośród panów: M. Bogusławski, Mrożewski.

LWOW. Teatr Rozmaitości wystawił komedję węgierskiego autora M. Laszlo, p. t. **„W perfumerji"**. Intryga osnuta jest na tle dwóch konfliktów: trójkąta małżeńskiego i kłótni pary amantów. Rzecz kończy się happy endem. Rolę zdradzonego małżonka odtworzył p. Leliwa, doskonale spisała się p. Irena Górska. Trzeba zapamiętać jeszcze nazwiska pp. Machalskiego, Madalińskiego i Baryki. Reżyserował p. Szyndler, a dekoracje projektował p. Różański.

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 9 stycznia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w W-wie.
12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 „U starych mistrzów" — koncert.
16.20 Najpiękniejsze polskie kołysanki Jezusowe.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie z Poznania.
18.50 „Wywodziny" — fragment z „Wesela na Górnym Śląsku" S. Ligonia i A. Kubiczka.
19.35 Słynni wirtuozi (II audycja).
21.15 Wieczór piosenek Berengera.
22.00 Opowieść o Beethovenie — (audycja I).

Poniedziałek, 10 stycznia.

11.40 „Od warsztatu do warsztatu: Garncarstwo".
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Orkiestra mandolinistów „Kaskada" z Wilna.
17.00 „Najdłuższe kanały na świecie" — odczyt.
17.15 Recital śpiewaczy Walerji Jędrzejowskiej.
17.50 Sport w Dolinie Janowej — reportaż.
18.10 Zimowe nastroje — płyty.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Dyskutujmy: Czy możemy żyć bez książki?
20.00 „W krainie operetki" — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, 11 stycznia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Fragmenty symfoniczne z oper Rimski - Korsakowa —
15.45 „Złoto i porcelana" — obrazek słuchowiskowy dla dzieci.
16.15 Kolędy śpiewane na Śląsku, audycja słowno-muzyczna.
17.15 Orkiestra Policji Państwowej.
17.50 W lodowych okowach Bałtyku — pogadanka.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Nieśmiertelne książki": „Nibelungi" — wiecz. VIII.
19.30 „Muzyka w masce".
20.00 „Nędza uszczęśliwiona" — opera w 2 aktach.
21.35 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

Środa, 12 stycznia.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Claude Debussy: „Mała suita (płyty).
15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.15 Potpourri operetkowe w wyk. Wileńskiej Orkiestry.
17.00 „Piechota w walce z czołgami" — odczyt.
17.15 Recital śpiewaczy Lorenzo Conetti.
17.50 Obrona konieczna — pogadanka.
18.10 Zespoły mandolinistów i cytrzystów (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Imieniny pani Cecylji" — obrazek obyczajowy z powieści „Marjonetki" S. Otwinowskiego.
19.20 Pieśni zaściankowe w wyk. Krystyny Krahelskiej.
19.35 Wartość życia ludzkiego — odczyt.
20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.00 Koncert chopinowski.
21.35 Koncert europejski z Holandji.
22.40 Orkiestra Barnabasa Geczy — (płyty).

Czwartek, 13 stycznia.

11.15 „Klasycy i romantycy" — poranek muzyczny dla gimn.
11.40 „Pieśni bez słów" (płyty).
15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą
16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Śląskiej Kapeli Ludowej.
17.00 Uniwersytet Stefana Batorego — odczyt.
13.15 Eugene Samuel Holeman: Dziewczyna w oknie.
17.50 „O typach biegaczy" — pogadanka.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 „Alkestis" Eurypidesa w Klasycznym Teatrze Wyobraźni.
20.10 Koncert rozrywkowy z Poznania.
21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki E. Skiwskiego.
22.00 Ludwik van Beethoven: Septet Es-Dur op. 20 — koncert.

Piątek, 14 stycznia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Arje z oper Czajkowskiego — (płyty).
15.45 „Bociek-Kuba" opowiadanie dla dzieci.
16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa.
17.00 Współczesna matka — pogadanka.
17.15 „Królowie chodzą" — ukraińskie słuchowisko obrzędowe.
18.10 Melodje filmowe (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Cień Macieja Poscala" — Luigi Pirandello w Teatrze Wyobraźni.
19.40 Intermezzo charakterystyczne (płyty).
20.00 Koncert symfoniczny, transmisja z sali Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 15 stycznia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Gra Colette Frantz — skrzypce (płyty).
15.45 „Kukulczęta" — wesoła audycja dla dzieci z Wilna.
16.15 Koncert orkiestry wojskow.
17.00 Z galerji dziwaków syberyjskich — felieton.
17.15 „Od Ateu do Bayreuth" — (IV audycja).
18.15 Jeanette Mac Donald i Nelson Eddy śpiewają — (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranica.
20.00 Koncert muzyki ludowej.
21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.